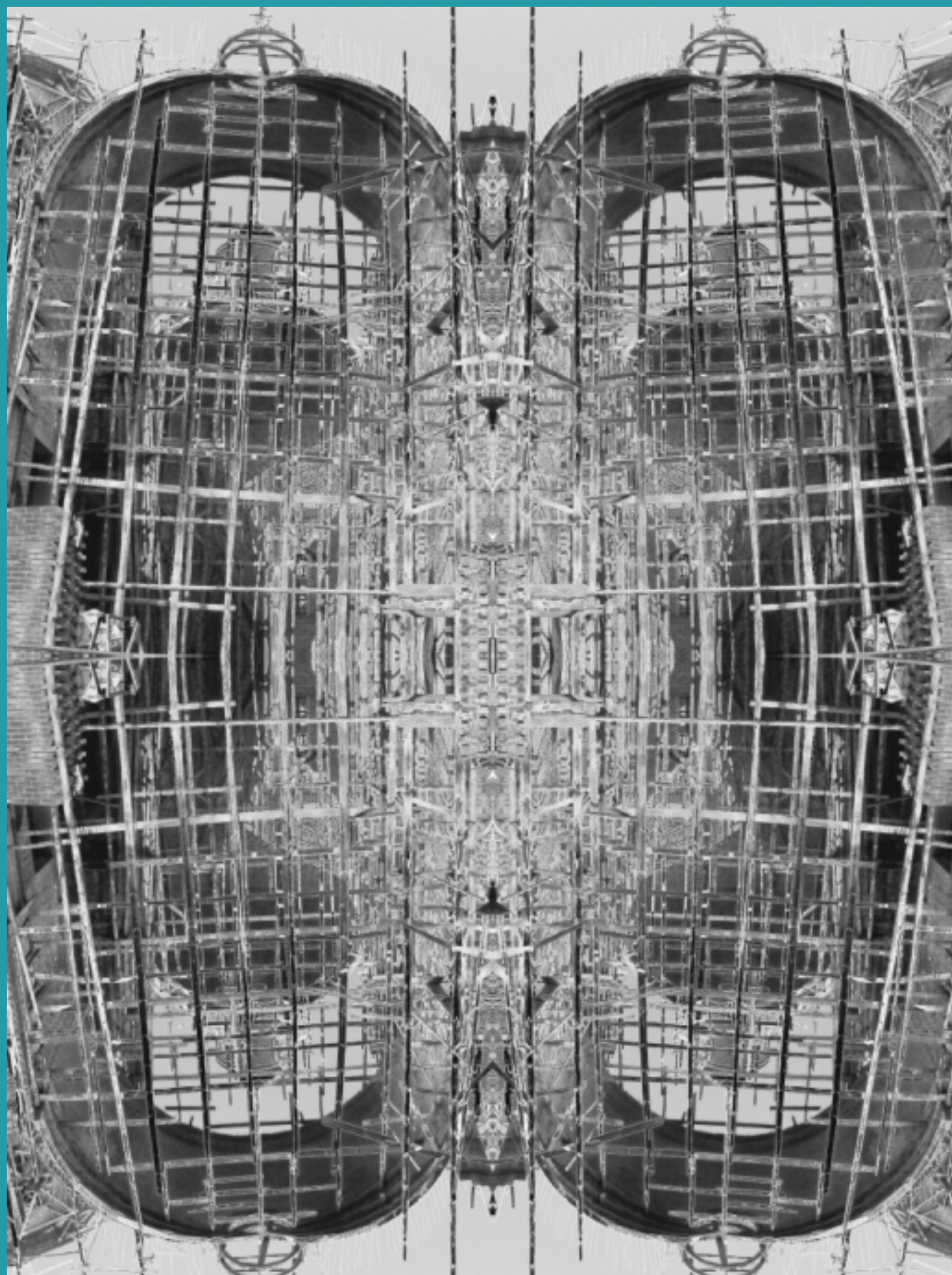
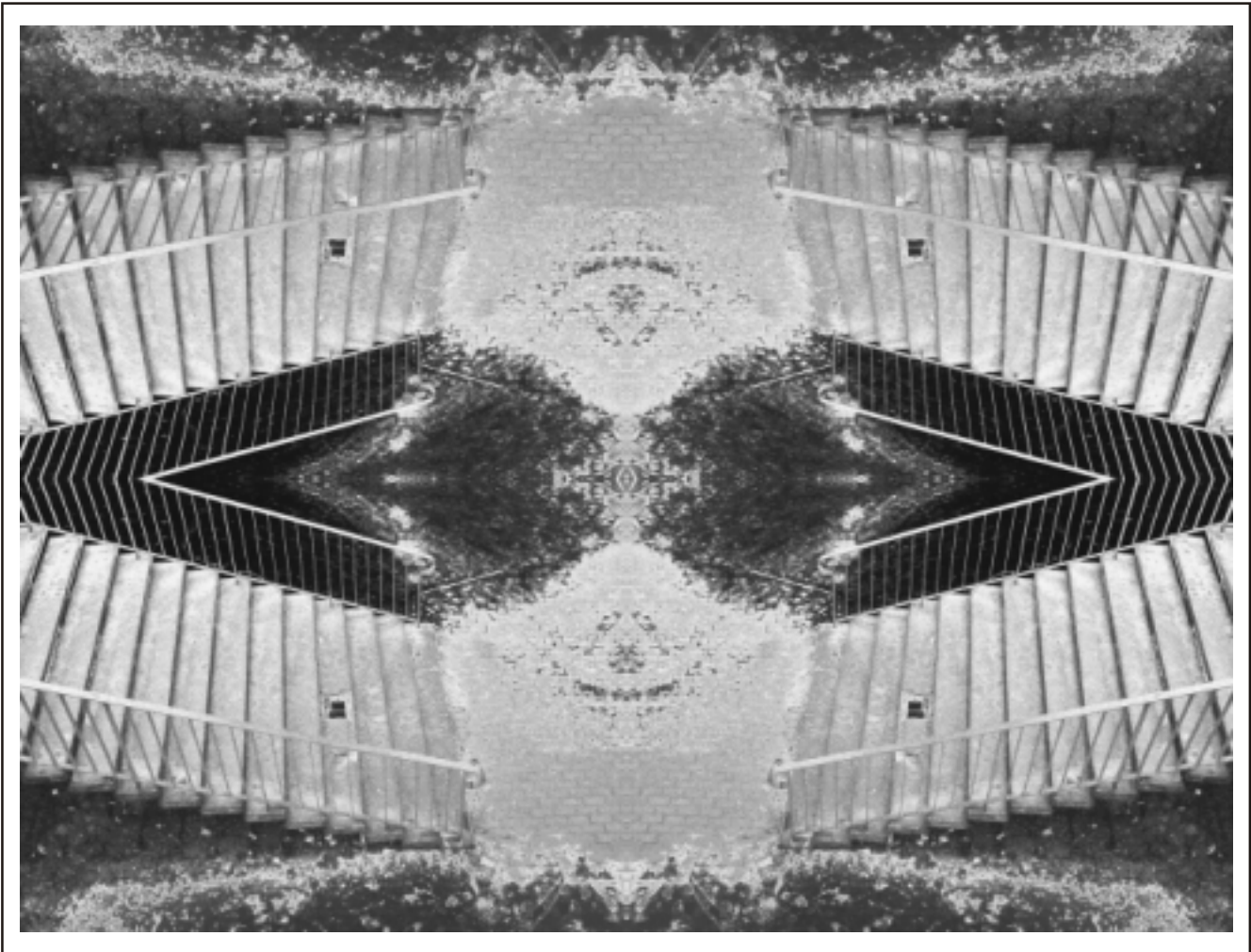
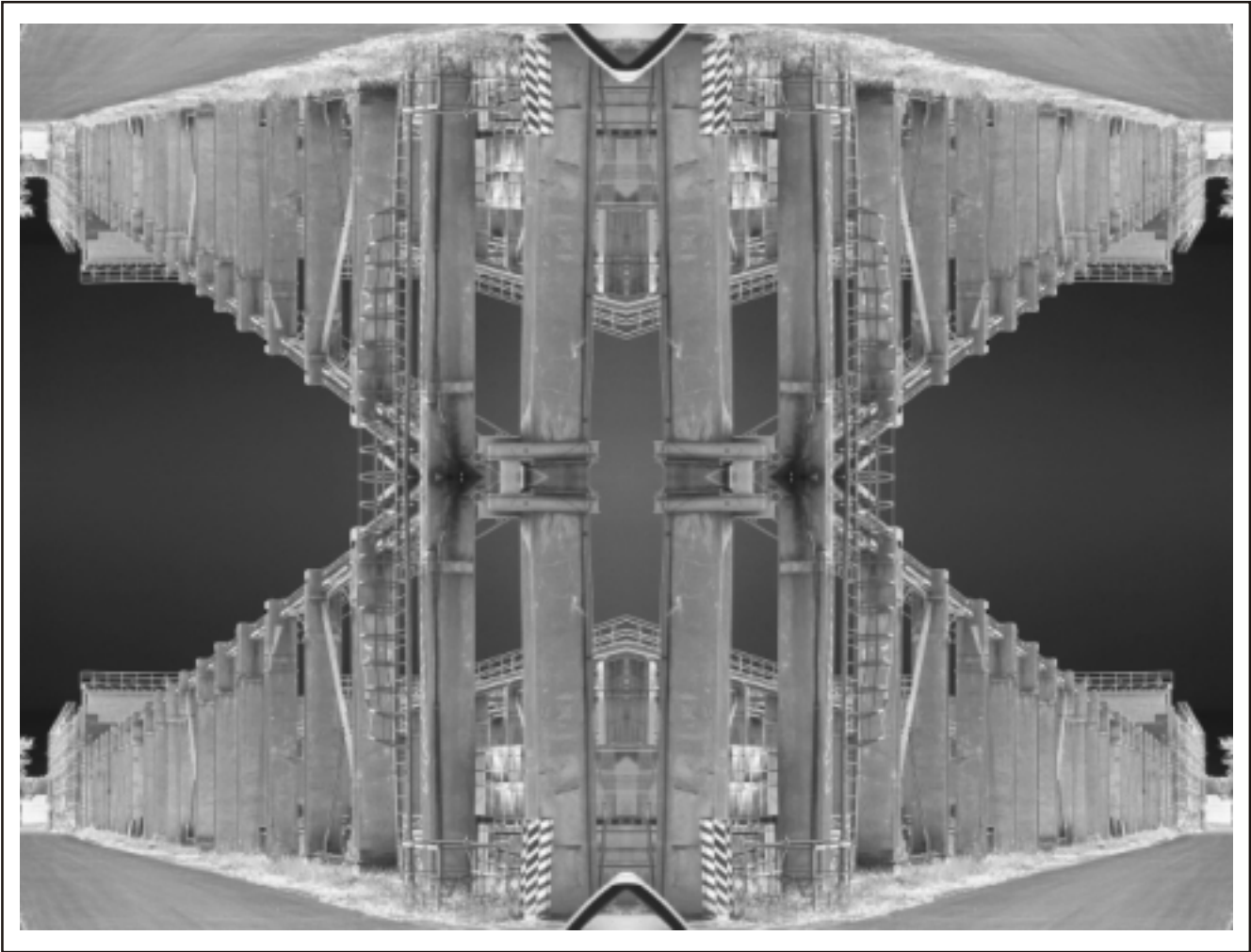


NR 47  
lipiec-wrzesień  
2004

# aleje 3

KWARTALNIK  
KULTURALNY  
CZĘSTOCHOWY  
ISSN 1427-8812 CENA 2 zł





## aleje 3

**Kwartalnik Kulturalny Częstochowy**

Pismo finansowane  
przez Urząd Miasta Częstochowy

**Wydawca**

Biblioteka Publiczna  
im. dra Wł. Biegańskiego  
w Częstochowie  
Al. Najświętszej Maryi Panny 22  
42-200 Częstochowa  
Tel. 034/ 360 56 28  
www.biblioteka.czest.pl

**Redakcja**

Aleja NMP 22  
42-200 Częstochowa  
Tel. 034/ 360 56 28  
e-mail: aleje3@poczta.onet.pl

Teksty niezamówione nie będą  
zwracane. Zastrzegamy sobie  
możliwość opracowania i skracania  
przysyłanych materiałów.

**Red. Naczelny**

Marian P. Rawinis  
Tel. 0505 666 486  
e-mail: mprawinis@poczta.onet.pl

**Oprac. graf. numeru**

Marian Panek

**Skład i łamanie**

Krzysztof Król

**Druk**

Drukarnia "TEXMET"

Publikacja współfinansowana  
przez Samorząd Woj. Śląskiego

Poglądy Autorów nie zawsze  
odzwierciedlają  
poglądy Redakcji.

Sierpień i doroczne Dni Częstochowy to dobra okazja, żeby uświadomić sobie, w jak przedziwnym miejscu żyjemy. Nasze miasto rzeczywiście często jest schowane i przez większą część roku jest prawie nieobecne w świadomości Polaków. Media przypominają sobie o nim dopiero z początkiem lata, bo każdy, kto podróżuje po kraju, prędzej czy później napotka na drodze rozśpiewanych wędrowców i dozna olśnienia: przecież to pielgrzymka na Jasną Górę! Wtedy przypominają sobie, że to gdzieś tam, pomiędzy Warszawą a Katowicami, między Kielcami a Wrocławiem. I choć świat jest dziś globalną wioską, rodacy niewiele o nas wiedzą. Próżno tłumaczyć, że jesteśmy zwykłym miastem, dwunastym lub trzynastym co do wielkości w Polsce. Z domami, ulicami, sklepami, latarniami. Że mamy samorząd, szkoły, gazety, filharmonię. Patrzą z niedowierzaniem. Niektórzy słyszeli o hucie, która ma kłopoty, teatr to dla nich miejsce, gdzie zbójował Janosik, tutejszy sport to chyba Włóknarz a może AZS. Każdego roku, szczególnie w sierpniu, gościmy tysiące przyjezdnych. Wychodzimy im na powitanie, gdy ciągną z hałasem przez nasze śródmieście, udostępniamy miejsca do spania i wszelką serdeczność. Wszystko, co uciążliwe, znosimy z życzliwym spokojem: tłok, uliczne korki, zatłokane drogi dojazdowe, kolejki w sklepach, porzucone opakowania na ulicach i podeptane trawniki. Wymagają od nas, byśmy byli nieomal idealni, lepsi niż inni, najbardziej polscy, kryształowi i prawie doskonali. Bywa, że postrzegają nas nieomal jak świętych. Jasna Góra – mówią z zachwytem. Wy tam chyba cały czas siedzicie na Jasnej Górze. Nie, nie siedzimy tam cały czas, choć bardzo jesteśmy dumni, że mamy Czarną Madonnę. Nie jesteśmy idealni. Bywamy małostkowi, zawistni, niegospodarni, nie rzadziej od innych popełniamy głupstwa i równie często trafiamy do policyjnych kronik. Ale jesteśmy dumni. Tak bardzo jesteśmy dumni. Duma wynika ze świadomości, że to właśnie u nas objawiło się cudowne źródło, że to u nas jest studnia, z której wszyscy pragną czerpać świeżą wodę. Źródło pradawne i niezmienne. Św. Jakub z Composteli - w imię dzisiejszej poprawności politycznej - nie może już być Pogromcą Maurów. My niczego nie musimy poprawiać – Nasza Pani jest Niezmienna. Gdy pielgrzymi odchodzą, zostajemy tutaj, obok Niej. To jest nasze zwyczajne miasto, nasz dom, nasze zwycięstwa i porażki, nasze życie. Nasza wielka duma. Bo my tutaj - wszyscy jesteśmy cembrowiną tej studni..

*Marian P. Rawinis*

**Anna Purska****Do Matki Bożej Częstochowskiej**

Abym od Boga nie odpadła  
Umacniaj mnie, Mamo.  
Przez próby życia zwycięsko przeszła  
Wspomagaj mnie, mamo.  
Do domu Ojca szczęśliwie dotarła  
Podtrzymuj mnie łaską.  
Bym z niedbałymi pannami u Bramy Niebieskiej nie była odrzucona  
Kochającą podaj mi dłoń.

**MAŁGORZATA Z. NOWAK**  
dyrektor Ośrodka Promocji Kultury  
"Gaude Mater" w Częstochowie

Jednym z ważniejszych wydarzeń, które chcielibyśmy szczególnie polecić, jest koncert autorski Marcina Pospieszalskiego - 27 sierpnia. Organizujemy go wraz z Filharmonią Częstochowską z okazji otwarcia Dni Częstochowy, z udziałem Częstochowskiej Sekcji Jazzowej oraz dwóch solistów - Anny Marii Jopek oraz Mietka Szcześniaka. Koncert będzie połączony z rozdaniem Nagród Prezydenta Miasta Częstochowy w dziedzinie kultury.

Na początku września odbędzie się cała seria imprez towarzyszących Krajowej Wystawie Rolniczej, połączonej z Dożynkami i Pielgrzymką Rolników na Jasną Górę, uzupełniane o część kulturalną. Będą to Targi Sztuki Ludowej w III Alei, prezentacja dzieł ludowych, wystawy oraz występy na scenie na skwerze przy Liceum im. Sienkiewicza.

Tegoroczna edycja Dni Kultury Chrześcijańskiej odbywać się będzie na przełomie października i listopada, pod hasłem promocji muzyki chrześcijańskiej. Nastawiamy się więc na przeróżne prezentacje muzyczne, m.in. wystąpi Leszek Możdżer oraz Teatr Tańca z Poznania. Będą też Zaduszki Jazzowe w kościele św. Józefa na Rakowie.

**EWA DERDA**  
dyrektor Biblioteki Publicznej  
im. W. Biegańskiego w Częstochowie

"Bohaterowie Powstania Warszawskiego. Walka i literatura" - to wystawa ze zbiorów własnych Biblioteki Publicznej, z zaznaczeniem obecności częstochowian i Częstochowy w strukturach Państwa Podziemnego i naszego współdziałania w dążeniu do niepodległości. Ekspozycja udostępniona jest w Bibliotece przy Alei NMP 22, w holu na parterze i na drugim piętrze.

W czasie XII Dni Częstochowy gościć będziemy Panią Ludmiłę Marjańską. Miłośnicy jej poezji będą mieli okazję posłuchać wierszy z nowego tomiku Autorki pt. "Otwieram sen" już 28 sierpnia o godzinie 18.00 w sali odczytowej Biblioteki.

Przez całe wakacje Biblioteka Publiczna wraz ze swymi filiami we wszystkich dzielnicach Częstochowy służy mieszkańcom miasta udostępniając różnorodne zbiory i informacje.

We wrześniu, z początkiem roku szkolnego, mamy propozycję dla uczniów klas maturalnych – niezwykle lekcje o niezwykłym człowieku, Witoldzie Gombrowiczu.

**KATARZYNA DESZCZ**  
dyrektor Teatru im. A. Mickiewicza w Częstochowie

W nadchodzącym sezonie nie zniknie z naszych teatralnych propozycji repertuar poprzedni. Nadal wystawiana będzie *Antygona*, *Iwona, księżniczka Burgunda*, *Piaskownica*, *Skrzyneczka*, *Ca-sting*, *Mayday* oraz bajki dla dzieci. Mamy też

zaplanowanych kilka premier, z czego najistotniejsze to *Kordian* w reżyserii Bożeny Suchockiej - dziekana Wydziału Aktorskiego Akademii Teatralnej w Warszawie, *Mahy Książę* w reżyserii Piotra Ziniewicza, oraz *Lęki poranne* Stanisława Grochowiaka. Wystawiony zostanie również *Makbet* Szekspira w mojej reżyserii oraz widowiskowy spektakl Andrzeja Sadowskiego *Odyseja* Homera. Na Małej Scenie pokażemy wiele tytułów, m. in. *Mąż mojej żony* Milo Gawrana, *Martwa królowa* Agnieszki Olsten oraz *Norway Today* Mikołaja Kolady.

Dodatkową naszą propozycją jest tzw. salon własny, inicjatywa twórców piszących, a także warsztaty literackie, które rozpoczną się na początku października.

**CZESŁAW TARCZYŃSKI**  
dyrektor Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie

24 września rozpocznie się wielka jubileuszowa wystawa malarstwa Stefana Chabrowskiego, urządzona w górnej, największej sali Miejskiej Galerii Sztuki, o 480 metrach kwadratowych powierzchni. To jeden z najznakomitszych malarzy częstochowskich, rocznik 1937, absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, na Wydziale Malarstwa i Grafiki w pracowni prof. Jana Świdierskiego i prof. Mieczysława Wejmana. Członek Związku Polskich Artystów Plastyków, w latach 1974-1977 i 1980-1983 przewodniczący Oddziału ZPAP w Częstochowie.

Stefan Chabrowski to malarz całkowicie oddany pejzażowi, osiągnął w nim piękne mistrzowskie efekty malarskie i artystyczne. Jego dorobek to ponad 40 wystaw indywidualnych i udział w 120 wystawach zbiorowych. Jego prace znajdują się m.in. w zbiorach warszawskiej "Zachęty", Muzeum Śląskiego w Katowicach, Muzeum Gómośląskiego w Bytomiu, Muzeum Kraszewskiego w Romanowie.

**LESZEK FERDYNAND HADRIAN**  
dyrektor Filharmonii Częstochowskiej

Z wszystkich imprez organizowanych w nadchodzącym sezonie, na specjalne wyróżnienie zasługują, moim zdaniem, dwie. Jest to inauguracja jubileuszowego, 60. sezonu artystycznego 2004/2005, która odbędzie się 17 września. To jedno z największych wydarzeń filharmonicznych. Podczas tej imprezy wystąpi jeden z najlepszych pianistów w Polsce - Krzysztof Jabłoński, oraz najwybitniejszy z dyrygentów - Jerzy Swoboda. Druga, bardzo istotna impreza, to koncert z okazji Stulecia Szkolnictwa Muzycznego Wraz z naszą Orkiestrą Symfoniczną wystąpią Tomasz Bugaj - dyrygent, prof. Akademii Muzycznej w Krakowie i Warszawie. Na skrzypcach grać będą częstochowianki: Dobrochna Banaszekiewicz oraz jej siostra, Anna.

*Oprac. aj, aw, pg*

## ŚWIĄTECZNE DNI KSIĄŻKI

Zorganizowane w maju II Regionalne Dni Książki to jeszcze nie tradycja, ale już pewna kontynuacja. Coś, co zaczęło się rok temu i ma szansę istnieć dłużej. Tegoroczna impreza nie przyciągnęła tylu ludzi, co np. targi kwiatowe, ale nie można powiedzieć, że było pusto. Było dłużej (3 dni), zaprezentowało się więcej wystawców (26), pojawiły się gwiazdy pióra, zaaranżowano przestrzeń z większym rozmachem. Dni odbywały się w budynku Miejskiej Galerii Sztuki na sali "śląskiej" i "gobelinowej", na dziedzińcu przed galerią, w sali OKF i w kawiarni "Dakafe". Czy było lepiej? Bo ubiegłoroczna impreza pachniała kłapą i zniechęceniem...



Panowie Parowski i Dukaj bardzo się spieszyli na pociąg

Przesunięcie terminu z czerwca na maj jest dobrym krokiem, ponieważ maj jest od dawna kojarzony z miesiącem książki. Otwarcie się na wystawców spoza miasta uatrakcyjniło dosyć monotonna i ubogą ofertę wydawniczą Częstochowy. Skromne stoiska miały "Książnica", "Wydawnictwo Literackie" (główny wydawca dorobku Poświętowskiej), "Pracownia Słów", "Wydawnictwo AA". Może warto w przyszłym roku zaprosić większe wydawnictwa, wykorzystując sytuację, że targi w Warszawie są bardzo drogie i wielu wydawców je bojkotuje. Część z nich chętniej prezentuje się na targach w Krakowie. A dlaczego by nie w Częstochowie? Duże wydawnictwa dysponują uznanymi nazwiskami, które niekiedy trudno przekonać do przyjazdu pod Jasną Górę. Zarzut, że nie będą to wtedy Dni Regionalne, lecz krajowe, jest bezsensowny, bo bezpośredni kontakt przedstawicieli firm może tylko przynieść korzyści miejscowym przedsiębiorcom. Dzisiejsze czasy są trudne i wydawcom nie opłaca się robić akademii na cześć książki, żeby było milej. Oni nie są dostawką do talerza, ale podmiotem. Liczą też na wymierne korzyści. A nie ma co ukrywać, że życie handlowe było nikłe i poza pokazaniem się na ciemnej sali, przystosowanej do eksponowania dzieł sztuki, żadnych korzyści komercyjnych nikt nie odniósł, niektórzy nawet dopłacili, chociaż stoiska wynajęto za darmo (dzięki Bogu!) Ich rozczarowanie może się negatywnie odbić na Dniach w przyszłym roku. Pojawiły się nawet głosy, by przenieść się ze straganami na Plac Biegańskiego...



Wanda Chotomska zużyła trzy długopisy na podpisywanie książek dla dzieci

Ciekawe wydarzenia – z pewnością wizyta Wandy Chotomskiej, popularnej autorki literatury dla dzieci. Piątek przypominał dzień dziecka, przyjeżdżały całe klasy szkolne po autograf ulubionej autorki. Sobota nieco senno – spacerowa, nie lepiej w niedzielę. Nie zaiskrzył nawet Jacek Dukaj i Maciej Parowski z "Nowej Fantastyki". Na ich wieczorek przyszło zaledwie kilku fanów. Możliwe, że środowisko SF odpuściło sobie to spotkanie, bo dwa tygodnie później mieli swój "CZEKON" z ciekawszym garniturem pisarzy.



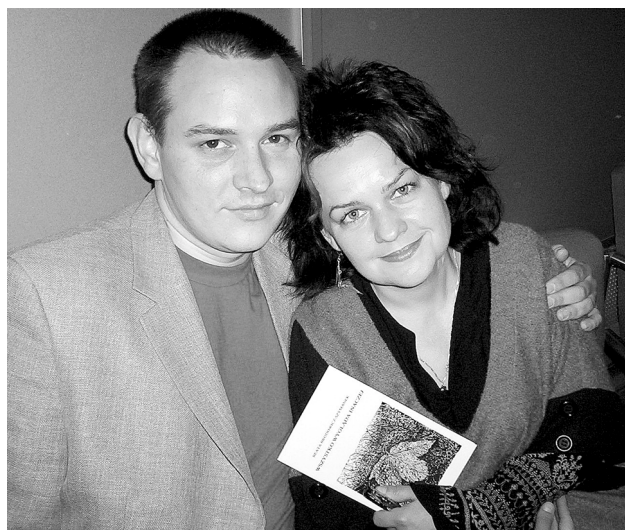
Ci, którzy oczekiwali ringu pokoleniowego, usłyszeli peany Arka na cześć Tadka

Największym zainteresowaniem cieszyli się częstochowscy literaci (też nie wszyscy). Na spotkaniach z nimi trudno było znaleźć wolny stolik w mlaskająco – rozgadanej kawiarence (Rosiek, Kalinin, Gierymski). Niektórzy sprawili swoim wielbicielem zawód nie przychodząc, jak np. Waldemar Gaiński, uhonorowany przez prezydenta miasta jubileuszową nagrodą z okazji 35 – lecia twórczości. Nie dojechały też chora Ludmiła Marjańska oraz Barbara Kubicka – Czekaaj, której pomyliły się dni spotkań.



Członkowie Fotoklubu Rzeczypospolitej dzielnie trwali na chłodnym wietrze

Można by jeszcze trochę ponarzekać na niektóre niedociągnięcia, ale te zawsze się pojawiają (np. częsty brak muzyki na sali wystawowej). Sympatyczna natomiast była atmosfera, cała otoczką, która powoduje, że inaczej się oddycha. Święto ludzi książki (księgarzy, antykwariuszy, wydawców, pisarzy, drukarzy, dziennikarzy, bibliofili, bibliotekarzy itd.) i nie tylko: był rysownik Tomasz Wolski i fotograficy z Fotoklubu RP, papierowe kompozycje Elżbiety Siemion z Janowa, pokazy czerpania papieru itp. Dni to wspaniała okazja do spotkań towarzyskich, rozwijania i nawiązywania kontaktów, prowadzenia warsztatów, pokazania się. Rozproszone na co dzień środowisko trochę się integruje przez ten jeden weekend.



Poetyckie zdjęcie rozwodowe: Rafał Kasprzyk i Beata Brodowicz - Szymanek

Udany debiut miał kwartalnik “Aleje 3” pod nową redakcją. Sprzedano cały nakład, w związku z czym niedzielne spotkanie z redakcją zostało odwołane. Premierą była również nowa gazeta regionalna “7 Dni”, rozdawana promocyjnie za darmo. Prosto z drukarni przyjechała antologia “Poeci Częstochowy i okolic”. Szkoda że wyd. WSP nie pomyślało o większej promocji i spotkaniu z autorami tego tomiku. Hitem mogą być wkrótce fiszki językowe wyd. “Cztery Głowy”, które podbijają księgarnie lingwistyczne w całej Polsce.

Podsumowując – dobra atmosfera to już dużo. Na przyszłość sugerowałbym wzbogacić program o nazwiska i firmy krajowe (może Jurajskie Dni Książki?) i jakieś mocniejsze uderzenie reklamowe od strony Alei, żeby przechodnie wiedzieli, że coś się w tej MGS dzieje. Bo sam szyld zdecydowanie nie wystarcza. Klaun na szrudłach, orkiestra, wielkie chodzące misie z ulotkami – jest tyle chwytów ulicznej reklamy. Takiego wyjścia do ludzi trochę mi brakowało, a całe spotkanie momentami przypominało seminarium dla głęboko wtajemniczonych lub tajny zlot masonów. Organizatorzy – Biblioteka Publiczna i MGS powinni jeszcze nad koncepcją Dni trochę popracować, bo prezydencka pompa starczyła tylko na pierwszy dzień, a tabuny dzieciaków po zdobyciu autografu Chotomskiej wyparowały bezpowrotnie. Gdzie licealiści, studenci?

(sb)

**Andrzej Grądzan**

## ZAPISKI Z FESTIWALI - „GAUDE MATER”

Nie sposób po upływie trzech miesięcy podjąć próbę szczegółowej oceny wszystkich wydarzeń artystycznych, towarzyszących tegorocznemu XIV Festiwalowi Muzyki Sakralnej „Gaude Mater”. Pozostają wszak refleksje i zapiski odnotowane na marginesie obszernego, gustownie wydanego przez organizatorów programu festiwalowego. Inimi warto się z Czytelnikami podzielić.

Znów w czasie między 1 a 6 maja, spotkało się w naszym mieście około 750 wykonawców przybyłych z 9 krajów świata, potwierdzając w pełni międzynarodową renomę częstochowskiego wydarzenia. Szesnaście pozycji programowych, to przede wszystkim muzyka, a także towarzyszące jej – teatr i sztuka plastyczna, podtrzymujące wspólnie i dokumentujące wyraźnie formułę sztuki sakralnej.

Tegoroczny festiwal, mimo że jeszcze nie jubileuszowy zaznaczał się akcentem podobnie wielkim w swej treści. Nawiązał on mianowicie do okoliczności wejścia naszego kraju i narodu w skład Unii Europejskiej. Miał więc ten festiwal silne akcenty obecności muzyki polskiej. Dlaczego? By udokumentować z tej szczególnej okazji, że polska sztuka, a wśród niej zwłaszcza muzyka polska – nigdzie nie wchodzi. Wszak od ponad 500 lat są one mocno zakorzenione wśród twórców kultury europejskiej i zajmują tam należne i znaczące miejsce.

Udokumentowaniem tej prawdy był inauguracyjny koncert Festiwalu, czy raczej widowisko muzyczne zatytułowane „Ars longa, vita brevis”. Pierwszy to chyba raz w swej wielowiekowej historii Bazylika Jasnogórska doczekała tak niezwyklej scenarii. Olbrzymi zespół wykonawców. Czołowe polskie chóry wraz z solistami. Zespół Muzyki Dawnej „Kapela Jasnogórska”. Trójka recytujących aktorów. Orkiestra Symfoniczna Filharmoników Częstochowskich w swym pełnym składzie, a z nimi wszystkimi polska muzyka, równie wielka. Poczynając od Sekwencji „Annus recolamus” z XI wieku, „Bogurodzicy” i „Gaude Mater Polonia”, dzieł Wacława z Szamotuł, Mikołaja Gomółki, Bartłomieja Pękiela i Marcina Józefa Żebrowskiego, poprzez Stanisława Moniuszkę, Feliksa Nowowiejskiego i Karola Szymanowskiego, aż do współczesnych nam Henryka Mikołaja Góreckiego i Wojciecha Kilara – to przekrój polskiej sztuki muzycznej na przestrzeni wieków. Dołączyły do tego teksty – od Galla Anonima, Jana i Piotra Kochanowskich poprzez Stanisława Wyspiańskiego do Czesława Miłosza i ks. Józefa Tischnera. Doskonałymi interpretatorami słowa byli aktorzy Marian Florek i Marek Ślosarski. A do tego jeszcze niezwykła sceneria i kapitalna koncepcja reżyserska Katarzyny Deszcz wraz z niespotykaną lokalizacją miejsc dla słuchaczy wzdłuż wnętrza Bazyliki oraz sytuowaniem wykonawców, którzy w miarę postępu widowiska przemieszczali się od ołtarza do punktu centralnego, czyli wejścia głównego świątyni

zajętego przez orkiestrę filharmoników pod dyr. Jerzego Swobody, wraz z potężnymi organami za nimi. Warunki odbioru muzyki, z konieczności wspomagane akustycznie także dla recytatorów, były doskonałe.

Kolejnym silnym polskim akcentem była Inauguracja Liturgiczna Festiwalu, podczas której nastąpiło w Bazylice Jasnogórskiej prawykonanie Mszy „Alma Redemptoris Mater” kompozycji Marka Jasińskiego, a po niej – popołudniowa „Msza puerorum” dedykowana dzieciom – prawykonanie dzieła Krzesimira Dębskiego. Reszty dopełnił tradycyjny już koncert polskich prawykonawców sakralnych, połączony z wręczeniem nagród laureatom IX Konkursu „Musica Sacra”.

W festiwalowych dniach z pełnym powodzeniem zaprezentowały się zespoły muzyki choralnej i chórno-instrumentalnej przybyłe z Litwy, Łotwy i Estonii. Odbył się wieczorny koncert muzyki cerkiewnej w kościele św. Jakuba, którego wykonawcą był ukraiński Chór Legenda.

Na czternastoosobowy Jerusalem Great Synagogue Choir przybył do filharmonii komplet publiczności. Wyznać muszę, że oczekiwałem tu przede wszystkim muzyki synagogalnej. Tymczasem program wypełniony został w przeważającej części okolicznościowymi pieśniami obrzędowymi, niekiedy nawet swawolnymi. W świetnie przygotowanym wokalnie zespole wyróżniał się jego solista – tenor, a całość poprowadził dyrygent i kierownik artystyczny Elli Jaffa, zasiadając także jako akompaniator przy fortepianie.

Odnotujmy zabawną, choć i nieco irytującą wpadkę. Telefony komórkowe – ów wielki wynalazek z drugiej połowy minionego wieku – mogą w pewnych okolicznościach stać się zmorem. Nie pomagają ciągle powtarzane apele osób prezentujących muzykę na salach koncertowych, by na czas pobytu w przybytku sztuki wyłączać „komórki”. I oto w ciszy poprzedzającej pieśń izraelskiego solisty wraz z towarzyszącym mu przy fortepianie p. Elli Jaffe – z całą doniosłością rozdał się nagle z widowni tryl czyjś telefon. Obdarzony dużym poczuciem humoru p. Jaffe spojrzawszy z rozbawieniem na słuchaczy i powtórzył ów tryl dosłownie i bezbłędnie na klawiszach fortepianu. Wzbudził wybuch śmiechu, choć niezdyscyplinowany właściciel „komórki” miał zapewne najmniej powodów do radości.

W kościele u ewangelików miał miejsce koncert muzyki gospel w wykonaniu światowej sławy zespołu czarnoskórych artystów – The Johnny Thompson Singers, z USA. W programie znalazło się aż 18 pieśni tego gatunku. Takiego obłędzenia świątyni przez publiczność ewangelicy dotąd jeszcze nie przeżywali. Pełnemu rozsmakowaniu się w tej pięknej muzyce przeszkodziło i zepsuło w sposób fatalny... nagłośnienie aparaturą akustyczną. Nie biorąc pod uwagę bardzo charakterystycznej naturalnej właściwości brzmieniowej tego wnętrza, wytrzaśnięty skądś akustyk, miał retuszować jedynie swą aparaturą brzmienie wokalne i instrumentalne płynące z towarzyszącego fortepianu – władował pełną moc ze swych urządzeń. Skutek był taki, że cała piękna harmonia i interesujące współbrzmienia artystów zniszczone zostały nieodwracalnie.

Ile to razy jeszcze przyjdzie nam – słuchaczom – domagać się pełnej profesjonalizacji obsługi akustycznej na koncertach dobrej muzyki, by zasadniczo różniło się to od łomotu i trzasku na innych, pożałuj Boże, występach tzw. zespołów, gdzie hałas konieczny jest do wytlumienia licznych fałszów i prostactw i zagłuszania ich w sposób dokumentalny?

Zakończyć trzeba zapisem wielkiego finału – koncertu czczonego 100 rocznicę śmierci Antonina Dwořaka, i wykonania jego „Requiem b-moll”. Koncert odbył się w Bazylice Jasnogórskiej, a wykonanie dzieła zapewnił zespół filharmoników krakowskich, wraz z chórem tejże filharmonii i czwórką solistów. Całość poprowadził czeski dyrygent Stanislav Macura. Krakowscy filharmonicy – to czołówka polskich zespołów symfonicznych, co udowodnili wspaniałym wykonaniem „Requiem”, godnym w pełni okoliczności oraz miejsca. Świetnie zaprezentowali się wraz z nimi soliści: Bożena Harasimowicz-Haas – sopran, Ewa Marciniak – alt, Ryszard Minkiewicz – tenor i Radosław Żukowski – bas.

Trudno niestety odnieść się do podobnymi wrażeniami do sylwetki dyrygenta. Mistrz batuty charakteryzuje zwykle wyrazistość i wykwiłt gestu, z jakimi prowadzi orkiestrę, prezentowane zresztą z różnym temperamentem, w zależności od charakteru utworu, czy własnej osobowości. Stanislav Macura zademonstrował w Bazylice styl niespotykany. Podskoki do góry lub tupanie nogą w podium, klaskanie, łapanie się pod boki, czy kładzenie torsu na pulpicie, niczym przy grze w snookera, a wreszcie kilkakrotne odwracanie się do publiczności z jakąś słowną tyradą – na szczęście niezrozumiałą przy pełnym tutti orkiestry – co to takiego? Niektórzy odbiorcy muzyki zastanawiali się, czy była to współczesna, nowa szkoła dyrygentury symfonicznej? Opinie tychnie podzielam. Mnie przypominało to raczej sylwetkę feldkurata Otto Katza, kapitalnie zarysowaną przez Jaroslava Haška w słynnym dziele literackim o Wojaku Szwejku.

Odnotowane przeze mnie wpadki – jako ciekawostki – nie stanowią bynajmniej zarzutów pod adresem świetnych organizatorów Festiwalu, których starania oraz efekty programowo-organizatorskie zasługują na największe uznanie. W niczym tu oni nie zawinili i byli wraz z nami autentycznie zaszokowani tego rodzaju „niespodziankami”, którym nie można było wcześniej zapobiec.

Dopisuję więc jeszcze, że tegorocznemu Festiwalowi towarzyszyło niezmiennie seminarium naukowe, adresowane do dyrygentów i animatorów sztuki muzycznej, organizowane od wielu lat przez zasłużone Narodowe Centrum Kultury z Warszawy, wraz z jego wspaniałą opiekunką, p. Wiesławą Krodkiewską. Tegoroczne przedpołudniowe spotkania z seminarzystami wypełniły: wykład Marka Dyżewskiego – „Śpiewy Pielgrzymów Średniowiecza”, dr Antoniego Zoły – „Totalność pieśni religijnych w Polsce” oraz prof. Guntarasa Pranisa – „Trylogia łotewskiej muzyki sakralnej”.

Koncerty festiwalowe upiększali słowem: Marek Dyżewski, Beata Młynarczyk, Zbigniew Pawlicki i O. Leonard Pietras.

## FESTIWAL JAZZU TRADYCYJNEGO

Ciągle jeszcze żywe pozostają wspomnienia po Festiwalu – III-rd Hot Jazz Spring Częstochowa 2004. Po raz trzeci nasze miasto gościło w sali koncertowej Filharmonii wybitnych reprezentantów tego gatunku muzyki.

Festiwal rozpoczęto miłym akcentem – jubileusz 45-lecia działalności artystycznej obchodził właśnie u nas niestrudzony propagator wszelkich jazzowych dokonań – trębacz Henryk Majewski. Były gratulacje, podziękowania i życzenia przekazane przez Prezydenta Miasta Tadeusza Wrone, który też otworzył festiwal.

Siergiej Wowkotrub przybył przed kilkunastu laty do Częstochowy z rodzinnej Ukrainy, wraz z żoną Olgą – pianistką i synem. Zadomowili się tu na dobre. Dziś już poszczycić się mogą uroczystym nadaniem im obywatelstwa polskiego.

Skrzypek, solista i kameralista Siergiej nie unika w swej pracy żadnego gatunku muzyki, byle była to muzyka dobra. Z równą łatwością wykonuje dzieła J. S. Bacha, A. Vivaldiego, czy L.v. Beethovena, co standardy jazzowe i modne przeboje muzyki rozrywkowej. Czyżby za karę przypadło mu miejsce przy ostatnim pulpicie w zespole Filharmoników Częstochowskich? Bo to on właśnie wraz z sekcją towarzyszącą rozpoczął festiwalowe spotkania, a jego muzyka lekka, łatwa i przyjemna, grana na elektronicznie wzmocnionych skrzypcach, bardzo przypadła do gustu słuchaczom.

Estradę objął następnie w posiadanie Henryk Majewski ze swą trąbką i towarzysztwem pierwszych gwiazd (a raczej gwiazdorów) polskich tradycji jazzowych: Janem „Ptaszynem” Wróblewskim – saksofon, Wojciechem Kamińskim – fortepian, Januszem Kozłowskim – kontrabas i Kazimierzem Jonkiszem – perkusja. Ich występ to właściwie wielki wykład muzyczny z historii jazzu tradycyjnego, w najlepszym wykonaniu.

Wokalistka Ewa Uryga nie wymaga rekomendacji. Jej interpretacja jazzu sięga okresu nowszego w historii tej muzyki. Interpretacja jest tym bardziej interesująca, że oparta na stylu współczesnej wokalistyki jazzowej szkoły amerykańskiej, którą pani Ewa poznała i z powodzeniem stosuje. W jej recitalu towarzyszyła sekcja instrumentalna, a w niej – puzon. W moim odczuciu, instrument ten był nieco nazbyt hałaśliwy zarówno w grze zbiorowej, jak i w partiach solowych. Do tego dały się zauważyć wyraźne kiksy w glissandach i biegnikach staccato tego instrumentu, nie pozostawiając w odbiorze najlepszego wrażenia.



W drugim festiwalowym dniu opublikowano wyniki konkursu „Swingujący Kruk” dla młodych instrumentalistów jazzowych. Nowa i ciekawa to inicjatywa, prawdopodobnie jedyna dotąd na świecie. Profesjonalne jury pod kierownictwem Henryka Majewskiego wyłoniło laureata I nagrody, którym został Michał Barański – kontrabasista. Nagrodę otrzymał także trębacz Daniel Pomorski. Przyznano jeszcze dwa wyróżnienia, a specjalną nagrodę rzeczową ufundowaną przez firmę Malko – instrumenty muzyczne – odebrał niemiecki perkusista Christian Weber. Młodzi posiadacze nagród i wyróżnień popisali się następnie muzycznie.

Po nich wystąpił Beale Street Jazz Band z Krakowa, z Andrzejem Marchewką – trębaczem na czele. Znowżafundowano słuchaczom potężną porcję przebojów z krainy jazzu w wykonaniu instrumentalistów znanych od dziesiątek lat z występów i nagrań płytowych. Towarzyszyła im Małgorzata Korzyńska, równie doskonała wokalistka, co sprawna konferansjerka.

Finał festiwalu to występ gospodarzy – Five O’Clock Orchestra z kornecistą, liderem, twórcą i inicjatorem festiwalowych poczynań Tadeuszem Ehrhardtem Orgielewskim na czele. Zagrali w powiększonym na tę okazję składzie wraz z gościnnie dołączonymi do zespołu: Wojciechem Kamińskim – fortepian, Romanem Twarożkiem – kontrabas, Jackiem Mazurem – klarnet, saksofon i Markiem Michalakiem – puzon, wraz z wokalistką Agnieszką Wilczyńską. Zespół – laureat dwukrotnie zdobytej „Złotej Tarki” – znowż poderwał publiczność z miejsc swym brawurowym wykonaniem znanych i ulubionych standardów z Nowego Orleanu rodem. Zasłużone brawa odebrali: przebojowy i pełen temperamentu Tadeusz i jego kornet, solówki kontrabasisty Tomasza Twarożka, Andrzeja Nowickiego na banjo oraz Wojciecha Kamińskiego – pianisty ze ścisłej czołówki jazzmanów krajowych. A czyż można zapomnieć świetnego Marka Michalaka z Krakowa, który imponował swą grą na puzonie? Nie spotkałem dotąd puzonisty, który przy unieruchomionym suwaku mógłby tak świetnie zagrać pełną frazę solową w całej rozległości.

Koncerty festiwalowe prezentował słownie Janusz Jadczyk.

Pozostaje jeszcze jedna osobistość z głębokiego zaplecza obsługi technicznej festiwalu, o której nie wolno zapomnieć. Nagłośnienie aparaturą akustyczną zapewniał skromny pracownik filharmonii – Piotr Tyras. To wyjątkowy przykład wiedzy i umiejętności w tej dziedzinie. Doskonały reżys naturalnego brzmienia wraz ze świetną ekspozycją poszczególnych partii i solówek, bez huk, trzasku i przesterowania, jak to najczęściej bywa. Brawo, Panie Piotrze. Inni powinni uczyć się od Pana!

Na koniec dwie jeszcze uwagi z festiwalowego pobocza. Louis Armstrong doczekał się swego (chyba jedyne w Polsce) placu na skwerze obok filharmonii. Poza tabliczką informacyjną nic więcej nie świadczy o tym. Czyż to nie najwyższa pora, proszę tak aktywnego grona naszych świetnych częstochowskich plastyków, by na placu tym umieszczono wreszcie popiersie wielkiego Ojca Jazzu wraz z jego złotą trąbką, by mógł w przyszłości przysłuchiwać się swej ulubionej muzyce płynącej z pobliskiej sali koncertowej?

Uwaga druga. Maj w naszym mieście spełniony jest po brzegi wydarzeniami festiwalowymi. Festiwal „Gaude Mater” i jego kontynuacja w postaci Ogólnopolskiego Konkursu „Sacrum w literaturze”, czy sympatycznego festiwalu piosenki dziecięcej „Majowa Nutka”. Z pewną troską obserwowałem pewien niedostatek publiczności na koncertach Festiwalu Jazzowego. Poza przesytem festiwalowym, dodatkowym powodem jest zapewne czas matur oraz okres egzaminów i zaliczeń braci akademickiej – potencjalnych wszak bywalców na imprezach jazzowych. A więc – dopóki „Wiosna Jazzowa” nie utrwaliła się jeszcze dostatecznie w postaci tradycji – czy nie dobrze byłoby zmienić tego festiwalu? Na przykład „Jazzowe Zapusty”, zmienne zgodnie z kalendarzem, lecz zawsze przypadające na ostatnie dni karnawału i doskonale nawiązujące do tej okoliczności. Frekwencja na festiwalowej widowni z pewnością nie zawiedzie i będzie murowana. Warto nad tym pomyśleć, proszę przedsiębiorczej dyrekcji Festiwalu Jazzu Tradycyjnego w osobach Leszka Adriana i Andrzeja Nowickiego – nominata na stanowisku kierownictwa artystycznego.

*Andrzej Grondman*

## NIECODZIENNA PASJA

**Historia Pipes'n Drums to spełnione marzenia kilkulatka, który teraz pomaga spełniać marzenia innych.**

### Opowiada Tomasz Ujma:

Miałem siedem lat, gdy oglądałem film "Porwany za młodu" i zafascynowałem się motywem muzycznym do tego stopnia, że go pamiętam do dziś. Dudy są dość prymitywnym instrumentem, który wydaje jedynie dziewięć dźwięków. Jednak, kiedy gra naraz kilku dudziarzy, ten dźwięk zachwyca i właśnie mnie tak zachwyił. Ten zachwyit trwa do dziś.

Wszystko tliło się we mnie i przygasało, to znów rozpałało się na nowo.... Dlaczego to mówię? Wiesz, dużo osób zaczęło interesować się tym wszystkim na fali filmu "Braveheart". We mnie tkwiła ta muzyka od dawna, można nawet powiedzieć, że byłem na nią uczulony.

Od małego bardzo się interesowałem militariami, ogólnie rzeczami związanymi z wojskiem, historią. Zdarzało mi się więc widzieć dudziarzy na łamach książek czy czasopism.

Mając czternaście lat spędzałem wakacje u babci. Mam brzydki zwyczaj czytania przy jedzeniu – może to być nawet książka kucharska czy telefoniczna. Tym razem byli to akurat "Nędznicy" Victora Hugo. Tam przepięknie opisany jest ostatni zryw armii Napoleona w 1815 r., który zakończył się jej pogromem przez armie angielsko-pruskie pod Waterloo. Ten plastyczny obraz, kiedy to "warczą bębny i świszczą dudy", zrobił na mnie ogromne wrażenie. Dlatego w szkole, gdy musieliśmy zrobić jakieś figurki z plasteliny, wybrałem sobie postać żołnierzyka szkockiego, grenadiera.

Między okresem, kiedy wpadnie w ucho kawałek muzyki, która ci się spodoba, następuje długi okres posuchy. Szczególnie, gdy dostępne są tylko dwa czarno-białe programy w telewizji.



Nie wiem, czy pamiętasz serial "Robin Hood" – w tym serialu była muzyka, która mnie wcześniej tak fascynowała. Zaczęłem odkrywać *Clannad* – zespół, który nagrał soundtrack – to takie *The Corrs*, którzy grają taką muzykę w formie tandetnej i jarmarcznej. Swoją drogą wystąpili w Sopocie cztery lata temu, niestety widziałem ten koncert jedynie w telewizji. Jeśli natomiast chodzi o *Clannad*, zacząłem słuchać tego na okrągło.

Słuchanie wystarczało mi aż do czasu, kiedy byłem na drugim roku studiów. Gdyby ktokolwiek wtedy mi powiedział, że będę grał cokolwiek, to bym go po prostu wyśmiał. Nigdy nie miałem ciągotek do gry na żadnym instrumencie. Ale złamałem nogę i byłem mocno uziemiony przez pół roku. Wyobraź sobie, że jak się siedzi w domu i nic się nie robi – bo nie można robić – coraz później się wstaje i kładzie spać. Pewnej nocy dostrajałem sobie radio, gdy usłyszałem tzw. iroszkocki rock. W Programie 3 Polskiego Radia nadawano akurat audycję "Folk w pigułce" albo "Muzyka zielonej wyspy", nazywali ją też czasem "Klub folkowy". Chłonałem każdy dźwięk, jaki wydobywał się z głośników radiowych. Do tego stopnia szalałem, że już dzień wcześniej musiałem mieć przygotowaną czystą kasetę. Szczególnie podobał mi się jeden z zespołów szkockich, grających muzykę – jakby to powiedzieć – nie była to muzyka tradycyjna. To było coś w stylu folk rocka, lecz grali z estymą historii. Nazywali się *Battlefield Band*. Szczególnie bliska stała mi się ich muzyka, gdy zacząłem się utożsamiać ze śpiewanymi przez nich tekstami. Przewijały się przez nie bitwy, kultura. Ogólnie były przasne i wesołe. Szczególnie zaczęło do mnie uderzać hasło "Forward with the Scotland past". Właśnie ten zespół miał w swoich szeregach dudziarza, który fantastycznie się wkomponował w twórczość grupy.

Na marginesie, *Clannad* i *Battlefield Band* są zespołami starszymi ode mnie. Powiem ci też, że duże wrażenie zrobiły na mnie wybory Szkockiej Partii Narodowej. Oglądałem relacje w telewizji, a tu nagle kamera pokazuje obrazek z jakimś młodym chłopcem w adidasach, który zasuwa na dudach. I poczułem wtedy zazdrość, że on gra Tam, na Tym instrumencie, a ja nie...

Po wyleczeniu nogi miałem dużo własnych problemów. Byłem straszony przez wszystkich, że to koniec z marzeniami. Wiesz, dziecko, żona, stabilizacja... Ja jednak konsekwentnie dążyłem do celu. W 1995 roku, słuchając "Klubu folkowego" usłyszałem, że jesienią odbędą się w naszym kraju Dni Kultury Brytyjskiej. Próbowałem nawet wygrać bilety na koncert *Battlefield* w konkursie – niestety. Byłem nawet przekonany, że ja, z Częstochowy, nie będę w stanie dostać się na tę imprezę. Ale udało się, pojechałem, kupiłem bilet i czekałem... Myślałem, że ci dudziarze, to jacyś zapyziali ludzie – a tu technicy dźwięku wpuścili mnie do sali, poznałem wszystko od kuchni. Następnie śledziłem ich przygotowania do występu. Szczerze mówiąc muzycy nie spodziewali się, że ktoś może tyle wiedzieć

o nich. Zapytali, czy jestem członkiem jakiegoś fan-klubu (którego w Polsce akurat nie mieli), więc odpowiedziałem, że mają ogromną rzeszę fanów, co ich niezmiernie uszczęśliwiło.

Cain McDonald, wielki muzyk, stroił właśnie swoje dudy przed koncertem. Zawołał mnie, i zapytał, czy chcę spróbować. Wydawało mi się, że trzeba mieć silne płuca, żeby grać tak długo. A tu trzeba mieć je silne, aby wydobyć jakiegokolwiek dźwięki. Trzeba naprawdę dużego treningu, by grać na dudach. Osobom palącym jest jeszcze trudniej, choć mój kolega ma astmę i gra.

Inagrałem te swoje pierwsze dźwięki na magnetofonie – miałem magnetofon, żeby nagrać ich piosenki podczas koncertu. A oni pozwolili mi wejść z nim na salę i nagrywać.

Skończyłem studia, zacząłem pracować. Pewnie do dziś jedynie słuchałbym muzyki, gdyby nie to, że mój tata wyjechał do Wielkiej Brytanii. Poprosiłem go, żeby zorientował się, w jaki sposób można stać się posiadaczem takiego sprzętu. Ojciec zapytał półzartem kolegę, i okazało się, że u nich jest to tak popularny i ogólnie dostępny instrument jak u nas gitara. Choć nie ujmując gitarzystom, żadna gitara nie porównuje się z dudami.

Gdy tata wrócił do kraju, spłynęły oferty, maile, rozmawiałem za pośrednictwem telefonu. Zdecydowałem się kupić wszystko potrzebne do nauki gry na dudach, czyli sprzęt, książki, rzeczy techniczne do obsługi. Książka okazała się niewystarczająca. Uczyłem się tak przez kilka miesięcy i szczerze mówiąc zaczęło to iść w bardzo złym kierunku. Później usłyszałem, że ktoś ma grać na dudach przy otwarciu jednego z supermarketów w kraju. Miałem znajomą, która skontaktowała mnie z tym człowiekiem. Okazał się nim być Lindsay Davidson. Uwierzył mi, że nie mogłem trafić lepiej. Wyobraź sobie, że ożenił on się z Polką i mieszkał w Krakowie, czyli nie tak daleko od Częstochowy – i jest mistrzem juniorów Wspólnoty Brytyjskiej. Ukończył Królewską Akademię Muzyczną i jako instrument dyplomowy wybrał sobie właśnie dudy, słowem – mistrz. Notabene w moim wieku.

Doskonale się zrozumieliśmy. Przy okazji swoich występów w Poznaniu zabrał mnie ze sobą. Praktycznie całe dwa tygodnie, które tam spędziłem, poświęcił mnie, przerywając sobie jedynie na koncerty lub posiłki. Wiele rzeczy na nowo musiałem się nauczyć, bo to, czego sam się nauczyłem, było po prostu fatalne.

Po roku nauki widywaliśmy się rzadziej. Nie musiałem już doszlifowywać błędów. Zaczęliśmy grać wspólnie. Rozpoczęliśmy współpracę z chłopakami z Gdańska, lecz na dłuższą metę odległość stawała się coraz większym problemem we wspólnym graniu.

Powoli dorastałem do tego, by stworzyć własny zespół w Częstochowie. Wiesz, to jest też ważne, że muzyki na dudach nie da się słuchać w systemie koncertowym. W krajach Wielkiej Brytanii, w Szkocji, dudziarze grają na imprezach na świeżym powietrzu. Policjanci czy strażacy mają

swoje orkiestry.

Chciałem również założyć taki zespół dla miasta, ot tak, za darmo. Wiesz, jakaś oficjalna uroczystość miejska, a tu dudziarze idą Alejami. Jakiś mecz żużlowy czy inny – dudziarze idą Alejami. Myślałem, żeby robić hałas, ale w sensie pozytywnym, aby przyciągać ludzi, zachęcać ich. Spotkało się to, niestety, z brakiem odzewu ze strony władz miasta.

Ucząc angielskiego przesaczałem młodzieży wiadomości o Anglii, Szkocji, Walii i Irlandii. Zainteresował się tym jeden chłopiec, który obecnie jest moją prawą ręką w zespole. I tak to się zaczęło wszystko kręcić. Dochodziły do nas osoby i odchodziły, z czego w konsekwencji powstał trzynastoosobowy zespół. Chcą się uczyć na dudach, ale także na bębnach. Swoją drogą z osób, których uczyłem angielskiego w *Pipes n Drums* grają cztery, co uważam za osobisty sukces.

Największym jednak sukcesem jest uznanie nas przez *Drums of Scotland* z *Ottawy* – zespół z 99-letnią tradycją, za tzw. Brother Band, oferują nam wszelką pomoc, jaką kiedykolwiek będziemy potrzebowali. W tej chwili współpracujemy również z Zespołem Tańca Szkockiego i Irlandzkiego Comhlan, oraz z Agencją Artystyczną Ista, która takich tańców naucza.

Chciałbym dodać, że o ile Częstochowa mało o nas wie, to np. w Opolu, Austrii czy w Czechach występujemy bardzo często, przy wielu okazjach.

*Wysłuchała Agata Jabłońska*



## MUZYKA W MUZEUM

**Nasz ratusz miejski – jedna z dotychczasowych siedzib Muzeum Częstochowskiego – doczekał się rozpoczęcia koniecznych prac remontowych. Dyrektor Muzeum Janusz Jadczyk i jego pracownicy błyskawicznie wyewakuowali tak eksponaty, jak i całość pozostałego mienia trwałego i ruchomego do “Rotundy”, czyli Pałacu Ślubów. Tempo, staranność i pieczołowitość towarzysząca temu zadaniu – zasługują na należyte uznanie.**

W nowej siedzibie nie marnowano czasu na tzw. “odsapkę”. Udostępniono już trzy wystawy: malarstwa z lat socrealizmu, ekspozycję białej broni oraz zestaw doskonałych fotogramów flory z regionu śląskiego.

To nie wszystko. Za muzealnymi zbiorami powędrowała muzyka, goszcząca dotąd w sali ratuszowej. Oto odbył się inauguracyjny koncert z programem muzyki rosyjskiej

w zaadaptowanej do tego celu salce “Rotundy” na I piętrze.

Inicjatorami i wykonawcami koncertu byli muzycy, którzy związani są swą działalnością artystyczną oraz pracą pedagogiczną z tutejszym środowiskiem: nauczyciele akademicy Instytutu Muzyki WSP i średniego szkolnictwa muzycznego. Nie pierwszy już

raz wymagają zauważenia cenne wartości wynikające z żywego łączenia ich działalności koncertowo-estradowej z pedagogiką na rzecz studentów i uczniów.

Koncert obejmował w całości dzieła dwóch wielkich twórców muzyki rosyjskiej: Piotra Czajkowskiego i Modesta Musorgskiego. Wystąpili: Siergiej Rysanow – wiolonczela, Halina Skubis – sopran i Ludomira Grądman – fortepian. Rozpoczęto *Wariacjami na temat rokokowy op. 33* i *Pezzo capriccioso op. 62* P. Czajkowskiego.

Siergiej Rysanow nie z przypadku zajmuje od kilkunastu lat stanowisko koncertmistrza w zespole częstochowskich filharmoników. Równie doskonale prezentuje się w muzyce solistycznej i kameralnej. Jego Czajkowski zabrzmiał z wielką wirtuozerią, pięknym i nośnym brzmieniem pochodzącym z znajdującego się w jego posiadaniu cennego instrumentu.

Siedmioczęściowy cykl pieśni *W izbie dziecięcej* M. Musorgskiego nie był dotąd znany częstochowskiej publiczności. Jego interesującą interpretatorką okazała się Halina Skubis, imponująca nie tylko wokalistyką, lecz także i grą aktorską w zróżnicowanych tematycznie i nastrojowo pieśniach cyklu. Partię fortepianową towarzyszącą poszczególnym wykonaniom zapewniła z właściwą sobie biegłością i muzyczną swadą – Ludmira Grądman.

Całości dopełniła Maryla Renat - komentatorka nawiązująca słownie do życia i twórczości obu rosyjskich kompozytorów. Swą bogatą wiedzę i znajomość

przedmiotu przekazywała językiem jędnym i zrozumiałym. Doskonałym też jej pomysłem było wręczenie słuchaczom polskiego tłumaczenia tekstów wszystkich pieśni z cyklu Musorgskiego, które na estradzie wykonywane były w języku rosyjskim.

Publiczność dopisała w komplecie, wierna tradycjom muzycznym w Muzeum. Reszty dopełniło pełne uroku wnętrze

salki “Rotundy”, udostępnione przez gospodarzy wraz z ciekawą lokalizacją miejsc dla słuchaczy, umożliwiającą nader dogodnie warunki odbioru muzyki.

Te i pozostałe walory sprzyjać będą z pewnością następnym muzycznym spotkaniom wśród muzealnych ekspozycji, tak starannie przygotowywanych przez kierownictwo placówki.

(ag)



Koncert muzyki rosyjskiej: Halina Skubis i Ludomira Grądman

## Legionowy powrót do Częstochowy Wojciecha Kopcińskiego

5 czerwca w Sali Kameralnej Filharmonii, swój nowy, słowno-muzyczny spektakl Teatru Legion pt. "Wspomnienie" zaprezentował Wojciech Kopciński, częstochowianin, absolwent pierwszego dyplomu Wyższej Szkoły Nauczycielskiej w Częstochowie (1974) i Wydziału Reżyserii Dramatu Krakowskiej PWST; w latach 80. reżyser i dyrektor artystyczny Teatru im. A. Mickiewicza, a w latach 90. dyrektor prywatnego Teatru Faust.

To bardzo osobisty spektakl, będący połączeniem utworów różnych twórców, dziś bez wątpienia klasyków poszczególnych gatunków muzyki, takich jak: "Kim właściwie jest ta piękna pani" czy "Opadły mgły" Edwarda Stachury, "Tears in heaven" Erica Claptona i Willa Jenningsa, "Über den Wolken" Reinharda Meya, "Mercedes Benz" Janis Joplin, "Dni, których jeszcze nie znamy" Marka Grechuty, "Wish you were here" Rogera Watersa i Davida Gilmoura, "Jaskółka uwieczniona" J. Kepskiego i K. Szemiotha, czy "Dreamer" Ozzy Osbourne'a.

Na scenie pojawiło się dwoje wykonawców: Niemka Bettina Arnold, dojrzała, ciepła, liryczna ("Tears in heaven"), ale jak trzeba, to i drapieżna ("Mercedes Benz") nauczycielka gry na gitarze i wokalistka oraz Tomasz Kilariski, młody, bardzo zdolny, o niezwykle ekspresyjnym, wyrazistym ("Gethsemane" Andrew Lloyd Webbera, pieśni Stachury), ale jak trzeba i intymnym głosie ("Fields of gold"), student psychologii i wokaliście, co umożliwiło widzom zupełnie świeże odczytanie i przeżycie doskonale znanych utworów, które, zaliczając się do klasyki, potrafiły połączyć różną wiekowo grupę ludzi.

Rolę łącznika utworów, zestawionych klimatem tekstów, znakomicie pełniła eteryczna, delikatna ale niezwykle głęboka w swym wyrazie poezja Anny Łazuki-Witek, poruszająca odwieczny temat miłości, życia i śmierci, recytowana nastrojowym szeptem przez reżysera i współscenarzystę Wojciecha Kopcińskiego.

To nie jest łatwy do jednoznacznego skwitowania spektakl, bowiem ponadczasowe, na nowo czytane teksty, nie pozwalają tylko "odhaczyć" kolejnej próby ich zestawienia i interpretacji. Ascetyczny, ale wyrazisty akompaniament tylko dwóch akustycznych gitar wylaniał nade wszystko ciężar gatunkowy tekstu jako nośnika nieprzemijających treści. Słowo bowiem jest najskuteczniejsze, gdyż rozwijając intelektualnie, zmusza do myślenia, uczy pokory, refleksji, porozumiewania się, ważenia wypowiedzianych znaczeń.

Wojciech Kopciński, kończąc niegdyś kierunek fizyki, wiedział, że jego przeznaczeniem jest teatr, a szerzej sztuka. Z jej pomocą realizował swoje marzenia, niezależnie od sytuacji tak politycznej, jak i ekonomicznej. Od wielu lat mieszkając w Niem-

czech buduje pomost między Polską i Niemcami, dziś właściwie europejski (dlatego spektakl jest trójjęzyczny), konsekwentnie prowadząc wymianę kulturalną, promując wartości ponadczasowe, ponadnarodowe i ponadpodziałami.

"Wspomnienie" jest konsekwentną realizacją postawionych celów i mocnym akcentem wspólnych dla Europy i świata wartości. W epoce wszechmocnej i wszechobecnej hamburgeryzacji życia, warto go było zobaczyć, by sobie to uświadomić, bo życie bez refleksji jest jałowe.

Spektakl nie miałby miejsca, gdyby nie życzliwość Pana Mariusza Stefanowskiego ze Stowarzyszenia "Nasza Częstochowa", który wraz z Rektorem Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie, prof. Januszem Berdowskim oraz Prorektorem ds. Nauczania WSP, dr. Jerzym Mizgalskim, współfinansował "Wspomnienie". Słowa uznania należą się również Naczelnikowi Wydziału Kultury i Sztuki UM, Panu Ireneuszowi Kozierze i Filharmonii Częstochowskiej za nieodpłatnie udostępnienie sali.

**Wojciech Kopciński** ur. 13.12.1950 w Częstochowie, po ukończeniu w 1974 roku studiów na kierunku fizyka z chemią w Wyższej Szkole Nauczycielskiej w Częstochowie, w 1980 roku ukończył Wydział Reżyserii Dramatu Krakowskiej PWST. Począwszy od 1979 roku pracował jako reżyser, kierownik i dyrektor artystyczny w teatrach: Częstochowy (Teatr im. A. Mickiewicza, Teatr Faust), Jeleniej Góry, Bielska-Białej, Słupska, Sceny Salezjańskiej w Krakowie, gdzie



Na fot. Bettina i Tomek

reżyserował co rok odnawianą pasję pt. "Dies irae", wg scenariusza W. Jesionki. Jest pomysłodawcą i dyrektorem artystycznym festiwalu "Pasja 2000", zorganizowanym po raz pierwszy przez Zgromadzenie Salezjańskie. Od 2002 roku realizuje swoje przedstawienia w międzynarodowej obsadzie w Strużynach. W latach 80. opuścił Polskę, emigrując do Niemiec, gdzie obecnie mieszka na stałe i gdzie od 1995 roku prowadzi wspólnie z burmistrzem Weismainu Peterem Riedelem i burmistrzem Altenkunstadtu Georgiem Vonbrunnem polsko-niemiecką wymianę kulturalną oraz od 1998 roku założony wspólnie z Mirą Kieniewicz-Kopcińską Teatr Tritonus. W marcu 2004 roku utworzył razem z przyjaciółmi Teatr Legion. Jest autorem adaptacji teatralnych i scenariuszy filmowych oraz książki

pt. "List-Dziennik", która ukazała się w Polsce w 2000 roku. W bieżącym roku w Niemczech ukaże się jej przekład zatytułowany "Ein Brief ist mein Tagebuch", a w Polsce jego druga książka "Góra znalezionej ciszy". Píše również wiele artykułów do prasy polonijnej.

*Wybór zrealizowanych przedstawień: S. Beckett „Ostatnia taśma Krappa”, Kraków; Sofokles „Edyp królem”, Częstochowa; F. Dostojewski „Zbrodnia i kara”, Jelenia Góra; S. Beckett „Końcówka”, Bielsko-Biała; K. „Życia nie szukaj” W. Kopciński, Słupsk; K. Wojtyła „Hiob”, Kraków; A.L. Webber „Cats”, Strużyny; W. Kopciński „Leiden”, Strużyny; B. Arnold, W. Kopciński „Erinnerungen”, Burgkunstadt.*

**Joanna Grochowska**

## Bez pudła

Poszedłem do Teatru im. Adama Mickiewicza na spektakl. Dawali "Skrzyneczkę bez pudła" według Wiesława Dymnego, w reżyserii Andrzeja Sadowskiego. Może to była premiera, a może próba generalna. Pierwszą wersję podawała m.in. ulotka przedstawiająca majowy repertuar teatru, drugą - program spektaklu i zaproszenie, które otrzymałem. Biorąc jednak pod uwagę nieoficjalny charakter imprezy, brak transparentów przed wejściem i tym podobne szczegóły, dochodzę do wniosku, że jednak była to próba generalna.

Andrzej Sadowski stwierdza w życiorysie: „*nie zajmuję się wystawianiem sztuk za to zajmuję się tworzeniem spektakli*”. Istotnie, "Skrzyneczka..." nie jest dramatem, lecz adaptacją opowiadania. Główny bohater, Adam, przejeżdżając przez bieszczadzką wieś, zauważa szyld z napisem: „Brenna Góra 35, Hrapiek Józef, stolarz, LAKIERNICTWO” (treść napisu ma ogromne znaczenie) i postanawia zwrócić się do owego stolarza z prośbą o wykonanie skrzyneczki. Od Hrapkowej dowiaduje się, iż rzemieślnik od dawna nie żyje, zaś jego syn siedzi w więzieniu. Adam udaje się zatem do drugiego we

wsí stolarza, Forteckiego, i tam zamawia skrzyneczkę. Zaintrygowany napisem zgłębia skomplikowane stosunki między zmarłym Hrapkiem i pozostałymi, wpada też na trop zbrodni...

Przy takiej formie, jak inscenizacja opowiadania, zachowana została oryginalna narracja. Dlatego należy pochwalić Adama Hutyre, który, jako Adam, jest nie tylko głównym bohaterem, ale i narratorem. Aktor wykazuje się niezwykłą kondycją - prawie w ogóle, poza krótkim fragmentem na samym końcu, nie schodzi ze sceny. Jeździ po niej na rowerze, który skądinąd jest ulubionym ostatnio rekwizytem teatralnym (vide "Ożenek" Gogola w krakowskim Teatrze im. Juliusza Słowackiego); próbując ustalić stosunki łączące mieszkańców Brennej Górnej kreśli po tablicy umieszczonej z boku sceny i w ferworze ustalania faktów „zjeżdża” z tablicy na ścianę; rekonstruując przebieg morderstwa, wpada w szaleńczą pieśń, wywołującą wśród publiczności salwy śmiechu. Jedyne, bardzo drobny zresztą zgrzyt stanowi fakt, iż na ścianie dawały się zauważyć ślady napisów kredą po poprzedniej próbie. Podsumowując występ Hutyry, ów niewątpliwie zdolny aktor jest nie do pokonania w rolach niepoważnych lub kompletnie



Fot. Piotr Dhubak

zwariowanych, jak pamiętny Papkin w "Zemście" w reżyserii Henryka Talara. Adama ze "Skrzyneczki..." można także zaliczyć do tej kategorii.

Forteckiego gra Marek Ślosarski. Aktor ten wygląda tu chyba zbyt inteligentnie, jak na stolarza; zresztą, gdy pojawia się po raz pierwszy, jest na piersi dość nachalnie uwalany trocinami (w toku przedstawienia obsypują się). Należy się trochę obawiać, że do Ślosarskiego przyłgnie etykieta „cierpiętника”: monolog stolarza, wyjaśniający zagadkę, do bólu przypomina spowiedź Jacka Soplidy w "Panu Tadeuszu".

Najmniejszą rolę spośród trojga aktorów występujących na scenie otrzymała Małgorzata Marciniak (Hrapkowa). Aktorka znana z odgrywania postaci pierwszoplanowych tym razem mówi najmniej, czasem powiesi pranie na sznurze lub poprawi szyld młotkiem.

Ciekawym rozwiązaniem jest wprowadzenie filmów, wyświetlanych na tle dekoracji. Zrealizowali go Michał Bożek (operator) i Piotr Kulesza (montażysta), zaś udział wzięli: Marek Ślosarski, Iwona Chołuj, Ewa Kula, Waldemar Cudzik, Antoni Rot i inni - jednakże program nie precyzuje, kto w jakiej roli. Filmy pełnią różną funkcję. Jedynie na ekranie pojawia się gminny kasjer Holeksa, którego Adam (pozostający na scenie) wypytuje, prowadząc śledztwo. Holeksę widać za biurkiem bądź pijanego, obejmującego brzozę. W tej ostatniej scenie filmowy kasjer „podaje” żywemu Adamowi butelkę wódki! Filmy służą też pokazywaniu retrospekcji: w finale, gdy Forteckie opowiada całą historię śmierci Hrapka, obserwujemy go na filmie. Sceniczny Ślosarski starał się mówić równocześnie z filmowym, ale nie zawsze nadążał.

W obliczu tak interesującego pomysłu nieco mniej zauważa się zwykłe dekoracje, czyli frontony kilku domów i symboliczny płótek, oddzielający Forteckiego od Hrapkowej. Obowiązkowym elementem jest szyld o wspomnianej treści. Na scenie stoi także ława, na której Adam siada z Forteckim, a gdy bohater spożywa posiłek ze stolarzem lub wdową, dekoracja odsuwa się i widzimy aktorów przy stole.

*Skrzyneczka bez pudła* nie jest utworem, który wstrząsałby człowiekiem, zmieniał jego światopogląd i otwierał umysł na istotne problemy wszechświata. Jest natomiast pełną absurdałnego humoru opowiadką, na dodatek niebanalnie zrealizowaną. Jeżeli repertuar naszego teatru pod kierownictwem Katarzyny Deszcz będzie opierał się na równie oryginalnych spektaklach, może zrobić się naprawdę bardzo, bardzo ciekawie.

**Jakub M. Rawinis**



Fot. Piotr Dłubak

## JURAJSKIE TEMATY W NOWYM FILMIE

W jurajskich okolicach Częstochowy - gdzie Janów, Olsztyn i Choroń - będzie realizowany w przyszłym roku polski film fabularny pt. **“Jura”**. *Film opowiada o magicznej ziemi jurajskiej* – zdradziła nam autorka scenariusza, częstochowska pisarka, **Maria Nowakowska – Majcher**.

Jak się dowiadujemy, fabularną osią opowieści - z elementami legend i baśni - jest przyjaźń chłopca ze starszym mężczyzną; w głównej roli męskiej wystąpi znakomity aktor o europejskiej renomie, **Andrzej Seweryn**.

Film zrealizuje wybitny twórca polskiego kina, w ostatnich latach skupiony głównie na działalności pedagogicznej, **Henryk Kluba**.

*Pan Kluba jest wielkim artystą, umiejącym mistrzowsko budować nastrój* – powiedziała Maria Nowakowska-Majcher. – *Pochodzi z naszej ziemi, temat go urzekł i za moją namową podjął się reżyserii.*

## JESTEM DUŻY, BĘDĘ WIELKI

rozmowa z Wojtkiem Kowalskim, aktorem

**Mówią o Tobie, że jesteś największym częstochowskim aktorem. Zgadzasz się z taką opinią?**

Tak. Ważę 126 kilogramów i nie słyszałem o żadnym aktorze z Częstochowy, który mógłby mi dorównać. A mówiąc poważniej, nie potrafię się ustosunkować do tego pytania. Nie potrafię porównywać skali talentu. Poza tym staram się być skromny, choć chyba jestem próżny, jak każdy aktor.

**Dlaczego w ogóle nie widać Cię w Częstochowie? Pokazujesz się na scenach w całej Polsce, ale nie w rodzinnym mieście.**

Bo w Częstochowie nie ma ośrodków kultury, które chciałyby zapłacić za to, co robimy. Szczerze mówiąc, nie rozumiem tego, co się dzieje w częstochowskiej kulturze. W Gdańsku, Gorzowie Wielkopolskim, Zielonej Górze czy Katowicach tak zwany teatr alternatywny ma wsparcie w instytucjach kultury i ma swoją widownię. Są pieniądze, jest współpraca z wieloma krajami europejskimi, a w Częstochowie tego nie ma. Nigdy zresztą nie było, to chyba specyfika tego miasta.

**Do tej pory największy Twój sukces – i sukces Teatru from Poland – to “Saxofonista”. Spektakl zebrał mnóstwo nagród na wielu festiwalach, gracie go już kilka lat. Nie boisz się, że do końca życia będziesz musiał pokazywać to przedstawienie?**

Ale ja chciałbym, żeby tak było, bo “Saxofonista” cały czas ewoluuje, a poza tym jestem do niego bardzo przywiązany. Niedawno grałem w Koszalinie i choć tekst się nie zmienił, przeżywałem go tak mocno, że aż się naprawdę szczerze rozplakałem. Nie do końca rozgraniczam rolę, postać, którą gram, i rzeczywistość poza sceną. Ta akurat mnie po prostu rusza. Według mnie najważniejsza na scenie jest energia. Jeśli jej nie ma, to w ogóle nie jest sztuka. W “Saxofoniście” jest dużo energii.

**Instytucje kulturalne z całej Polski zapraszają Cię, żebyś uczył młodych ludzi aktorstwa. A miałeś propozycje od profesjonalnych teatrów, żeby wystąpić na zawodowej scenie?**

Nigdy. Często się zastanawiałem, czy w ogóle chciałbym dostać taką propozycję, czy chciałbym codziennie grać lektury szkolne dla rozwydrzonej młodzieży, która w ogóle nie chce tego oglądać. Myślę, że w sensie warsztatowym poradziłbym sobie, ale nie skończyłem szkoły aktorskiej, więc chyba nie doczekam takiej propozycji.

**To może profesjonalny film? Masz już doświadczenie, występowałeś w produkcjach niezależnej wytwórni A'YOY.**

Pracuję nad tym i z czasem chciałbym iść w tym kierunku. Od czasu do czasu dzwonię i pukam do różnych drzwi. Na razie bez efektu, ale co się odwlecze, to nie uciecze.

**Od wielu lat współpracujesz z Jarosławem Filipskim, który jest autorem scenariuszy do twoich spektakli. Wiele małżeństw rozpada się szybciej.**

Filipski to mój mentalny brat. Rozumiemy się bez słów, mamy podobne poglądy na temat życia, sztuki. Nigdy się nie kłócimy. Wszystkie spektakle pisze dla mnie, zawsze gram główne role i bardzo mi się to podoba.

**Czasami chałturzysz prowadząc różne dziwne imprezy, na przykład dla firm. Lubisz to?**

Kosztuje mnie to bardzo dużo zdrowia, bo prowadzenie takich imprez wymaga optymistycznego nastawienia. Zlecenie muszę przecież wykonać profesjonalnie. Nie ma nic gorszego, niż konferansjer, który zmusza się do mówienia. Kiedy się odpowiednio nastawię, ludzie czują moją radość i to przynosi efekt. Nie bez znaczenia jest też mój wygląd.

**Zrezygnowałeś z muzyki, a przecież grałeś w znanych zespołach, jak choćby Habakuk. Wrócisz kiedyś do grania?**

Ostatnio myślałem o tym, ale doszedłem do wniosku, że nie mam prawdziwego muzycznego talentu.

**W Częstochowie jesteś prawdziwą instytucją życia towarzyskiego, wszędzie Ciebie pełno. Jak znajdujesz na to czas? Pracujesz jako bibliotekarz, masz próby, występujesz...**

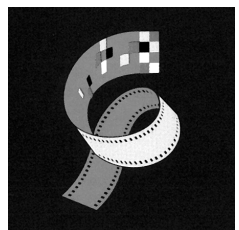
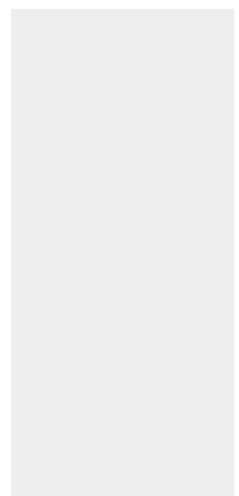
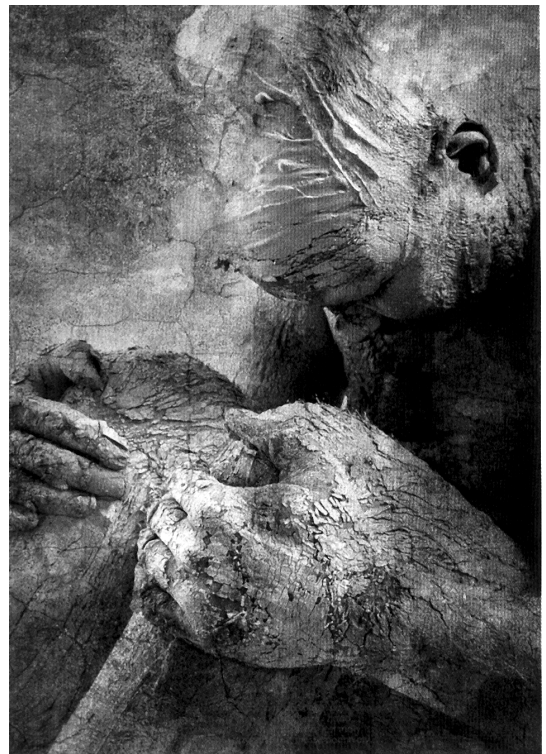
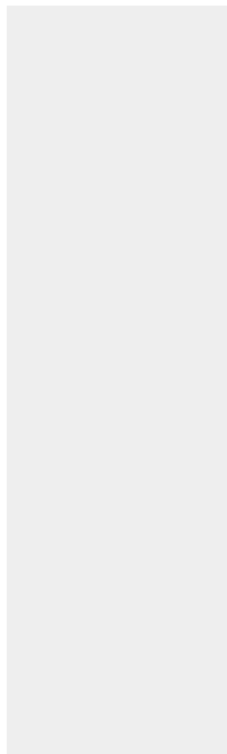
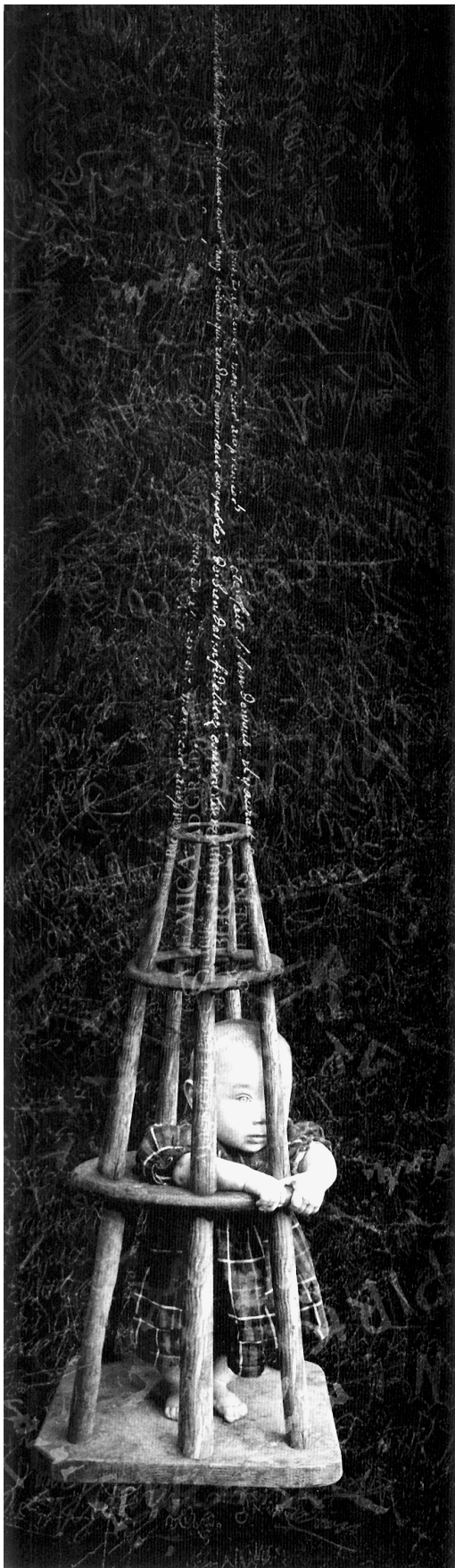
Nie oglądam telewizji, może z wyjątkiem futbolu. Męczą mnie nasiadówki rodzinne, więc staram się wyrwać z domu. Ale najważniejsze jest to, że lubię ludzi, nawet takich, za którymi wielu nie przepada. Ludzie mnie fascynują, każdy osobnik płci męskiej i żeńskiej.

**Co Wojciech Kowalski będzie robił za 10 lat?**

Będzie jednym z bardziej znanych polskich aktorów charakterystycznych, będzie miał jeszcze piękniejszą twarz. Będzie dalej robił to, co robi.

**Wojciech Kowalski** ma 34 lata, jest aktorem “Teatru from Poland”. Twierdzi, że był największym dzieckiem, jakie urodziło się w byłym województwie częstochowskim, bo ważył 5,65 kg. Dziś wiele osób mówi, że jest największym częstochowskim aktorem, przy czym – patrząc na listę jego sukcesów – taka opinia powoli przestaje być tylko sympatycznym żartem dotyczącym postury aktora, a staje się odzwierciedleniem pozycji artysty. Wojciech Kowalski zdobył kilkanaście nagród na różnego rodzaju festiwalach za kreację w “Saxofoniście”. Stworzył w tym spektaklu postać bezrobotnego aktora, który chcąc zdobyć pracę wciela się w Jerzego Stuhra. Tekst przedstawienia, autorstwa Jarosława Filipskiego powstał w oparciu o autentyczne wypowiedzi znanego aktora. Kowalski jest z wykształcenia technikiem mechanikiem i polonistą, pracował jako dealer samochodowy, fotoreporter, dziennikarz telewizyjny, dziś jest bibliotekarzem. Zaczynał życie artystyczne jako muzyk, grał na saksofonie między innymi w “Habakuku”. Potem jednak pochłoniął go teatr, zaczął w legendarnym już WIFIFI. Ma za sobą role filmowe w filmach zielonogórskiej wytwórni A'YOY, stworzonej przez Władysława Sikorę, znanego z kabaretu “Potem”. Ostatnio prezentuje w całej Polsce, ale niestety nie w Częstochowie, najnowszy spektakl “Teatru from Poland” - “Butter – flay”.



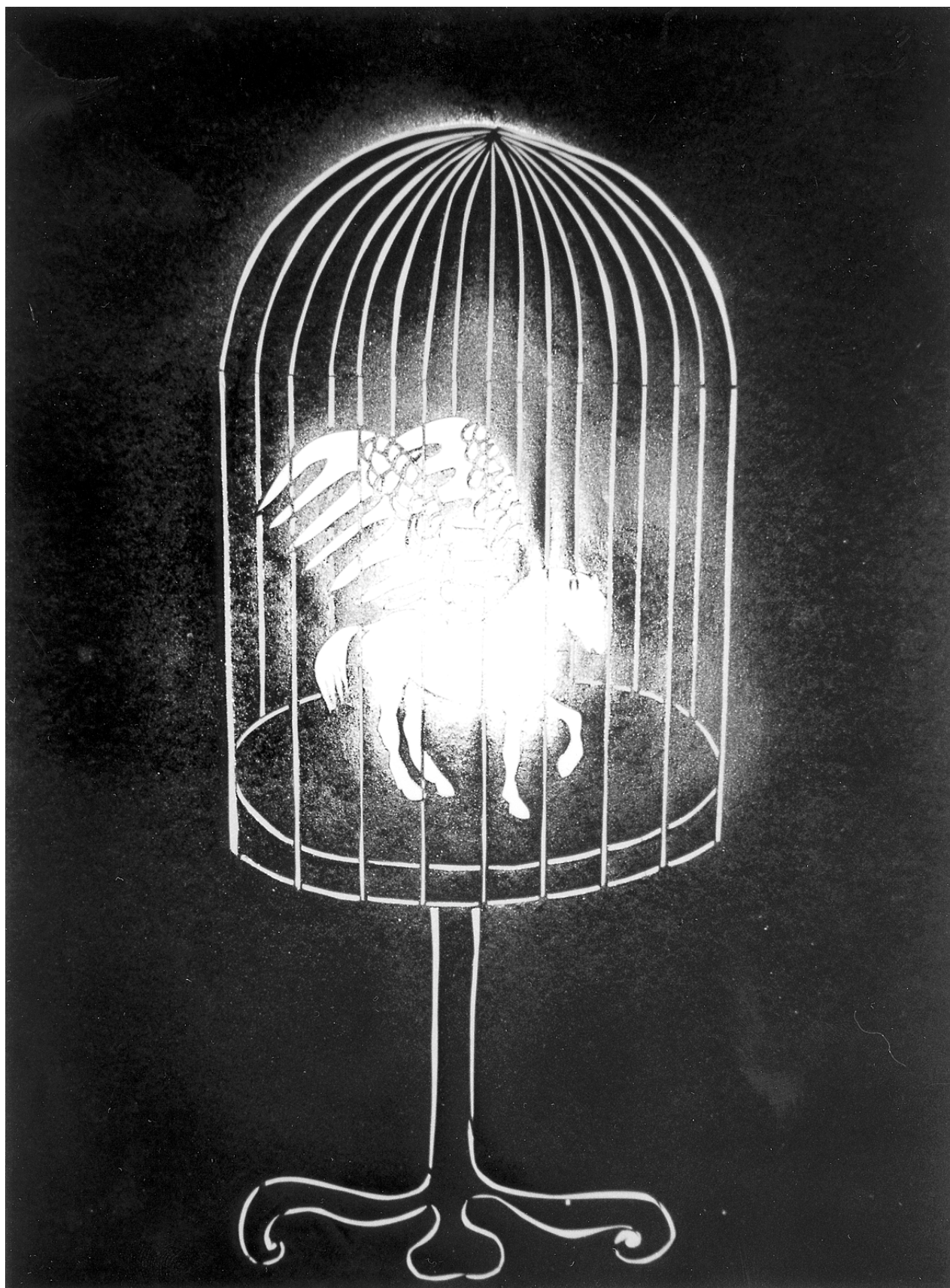


VII Międzynarodowy Konkurs Fotografii Cyfrowej CYBERFOTO 2004  
w Częstochowie

Evaldas Ivanauskas (Litwa) - *The Cage*

Urszula Trzaskowska (Karczew) - *Zaklęty w kamień*

Piotr Wachecki (Częstochowa) - *Wielkie pranie*



Jacek Łyczba - Pegaz w klatce

## Plener Miejski

Plener Miejski uważam za potrzebny i ważny. I to niezależnie od formuły i celu, jaki organizatorzy przed nim stawiają. Tym razem chodziło o pokazanie urody miasta, a komisarz Agata Zielińska dała uczestnikom pełną swobodę twórczych pomysłów. W plenerze uczestniczyło 15 artystów.

Tomasz Man sugestywnie wprowadza widza w klimat miasta. Artysta zapoczątkował swój zwrot ku pejzażowi miejskiemu cyklem słonecznych obrazów z Hiszpanii. Później doszedł do wniosku, że podobne słońce bywa i u nas. Przestrzenie miejskich panoram, uliczki zaniedbane i malownicze, napęłnia światłem w kontraście z cieniem ciężkich koron drzew. Postaci przechodniów i mieszkańców trwają w rozleniwieniu upalnego dnia. Wszystko tworzy atmosferę - powszednią i wyjątkową równocześnie, pociąga urodą i na urodę codzienności otwiera oczy widzom.

Miejski pejzaż w zmieniającym się oświetleniu i kolorycie można też z powodzeniem przetłumaczyć na układy całkiem abstrakcyjnych plam urzekające delikatnością barwnych harmonii - jak o tym świadczą kompozycje Agaty Zielińskiej. Odejście od przedstawiania w tym przypadku nie tylko nie osłabia przeżycia piękna chwili, ale nawet je wzmacnia, kierując równocześnie w sferę ponadczasową.

Światło niesie tajemnicę. Tak najkrócej scharakteryzowałbym oryginalne obrazy kosmiczno - miejskie Anny Gorejowskiej. Podobną funkcję światła w obrazie - ale tym razem abstrakcyjnym, z pewnymi aluzjami do przedstawiania - widzę u Jolanty Winiszewskiej, w jej cyklu zasygnalizowanym w katalogu wystawy.

W pracach Marka Zakrzewskiego fantazja i symbolika łączą się z konkretnymi fragmentami Częstochowy, dając równocześnie sposobność posłużenia się specyficznymi efektami technicznymi. Wystawę wzbogacają duże dekoracyjne polichromowane obiekty z drewna, którym Leon Maciej nadał formę jakby ołtarzowych nastaw z dość czytelną symboliką chrześcijańską. Sakralny aspekt miasta podkreśla dobitnie Krystyna Sz wajkowska. Jej monochromatyczne litografie działają formą i kolorem mocno i czysto.

Szczególnie podobają mi się nowe prace Anny Wawrykowicz - Żakowicz. Zauważyłem już na poprzedniej wystawie Pleneru Miejskiego dążenie artystki do zmiany charakteru twórczości - owych łatwo rozpoznawalnych kompozycji, pokrytych warstwą niby zastygłej lawy czy żużla - przez wprowadzenie fragmentów ładnie malowanej architektury. Zastanawiałem się, jak by było, gdyby cały obraz wypełniła architektura. I oto tak się stało. Przy tym zamiłowanie do efektów fakturowych przydało się świetnie do wyrażenia

materii murów, starych ścian, co daje dobry rezultat w połączeniu z fragmentami malowanymi cienką warstwą farby na gładkiej powierzchni płótna. To jednak nie realistyczne przedstawienie motywu. Czytelne są elementy metafory, symbolu, surrealizmu. Wszystko tworzy całość zwartą, zdecydowaną, jasno określoną.

Na wystawie są prace wykonane różnymi technikami. Pastelami posługują się: Adela Wiśniewska, Maria Ogłaza i Czesław Tarczyński. Oleje Cecylii Szerszeń i zatopione w złocisto-rdząwych gamach stare podwórka. Są melancholijne (Barbara Szyc) i z lekka groteskowe (Agnieszka Żmudzińska) próby powrotu do czasów, gdy - jak to opisano w starym przewodniku - w Alejach można było spotkać panów oraz panie "z ustrojonemi w domu minami" spacerujących po deptaku.

## Jubileusz

### Cecylii Szerszeń

W maju Miejska Galeria Sztuki w Częstochowie pokazywała dużą wystawę malarstwa Cecylii Szerszeń. Po dokonanej wcześniej selekcji, zobaczyć można było ponad 100 obrazów. Tak, by bez zbędnego natłoku móc zaaranżować ekspozycję według tematów, rodzajów i zagadnień malarskich, takich jak miejskie zaułki, sosny, Kazimierz, martwa natura, światło, pejzaż.

Był to jubileusz 35-lecia pracy twórczej jednej z najbardziej znanych postaci częstochowskiego świata artystycznego.

Okazało się, iż malarka zaimponowała dorobkiem i rozmyślnym rozmachem twórczym, bogactwem swoich olejnych kreacji obrazowych. Temat to głównie natura, chyba dlatego, że może być ona synonimem życia. Malarka dostarcza sztukę dobrze opanowaną warsztatowo i pełną światłocieniowej gry. Ciągłe doskonalone realistyczne malarstwo o indywidualnym charakterze i o uniwersalnych - w dużym stopniu - wartościach.

## ZPAP

Po kilkuletniej przerwie Miejska Galeria Sztuki urządziła też - wspólnie z Okręgiem Częstochowskim Związku Polskich Artystów Plastyków - wystawę prac jego członków. Na ekspozycji było ich 37. Jak zawsze, tego typu prezentacja jest świetną okazją do zlustrowania artystycznego stanu środowiska. Widoczne staje się bowiem, kto ile pracuje, ale też - chyba niestety - nie przynoszą one niespodzianek typu pojawienie się jakichś zjawisk awangardowych.



## Krainy i terytoria

**Elżbieta Kapusta**, absolwentka krakowsko – katowickiej akademii, dała się już poznać częstochowskiej publiczności na wystawie Konkursu im. Mariana Michalika, gdzie została uhonorowana przez konkursowe jury. Obecna jej wystawa indywidualna rozłamuje się jakby na dwie części. Pierwsza, to rozległe panoramy dużych formatów, skomponowane tak, że horyzont jest umieszczony wysoko, a prawie całość obrazu wypełnia ziemia naznaczona obecnością ludzi. Niekiedy w dalszych planach wzrok ucieka w niezmierzone dale, ale wrażenie całości powstaje zawsze podobne, jak bywa podczas wędrowki, gdy się wejdzie na wzgórze, a przed oczami wędrowca otworzy się nagle widok zapierający dech w piersiach. Przy tym sposób malowania nie ma nic z żywiołowej ekspresji, jest to malowanie bardzo uporządkowane, zdyscyplinowane w bogactwie szczegółów przetworzonych z wielką świadomością na plamę i linię, rytm pionów i poziomów, w zaskakujących gamach barwnych, w niebanalnym, wręcz niesamowitym świetle. Te obrazy pozostają na trwałe w pamięci. Nie odrzucają tradycji, a są bardzo współczesne, indywidualne. Można by też powiedzieć, że jest w nich przeżycie sacrum.

Drugą część wystawy znamionuje uproszczenie środków artystycznych, które stają się przy tym jeszcze bardziej współczesne, a obrazy – bardziej graficzne, złożone z

płaskich plam i linii, z sugestią przestrzeni oszczędniejszą, umowną, ale obecną. Motywy inspirujące artystkę są również bardzo współczesne – i same w sobie zwykle mało ciekawe. Świetnie się jednak nadają jako materiał i inspiracja do tego rodzaju przetworzeń. Bloki, powstające obiekty handlowe, szklony, reklamy – choć jest też interesująco pokazane wnętrze kościoła. W tym wszystkim pojawiają się anonimowe ludzkie sylwetki. Czasem jest zestawienie powtórzeń tej samej kompozycji w różnych wersjach rozwiązań kolorystycznych, z różnymi akcentami barwy. O ile obrazy z pierwszej części są jakoś ponadczasowe – te stanowią dokument epoki, chociaż konkretne miejsca są tylko pretekstem dla poszukiwania indywidualnych rozwiązań

Przejściem między obiema częściami wystawy jest duże płótno wypełnione skomplikowanymi układami nagich gałęzi drzew, w czym artystka bynajmniej się nie pogubiła – oraz uproszczone plamy nenufarów na wodzie, nasuwające samym motywem mimowolne skojarzenia z mistrzem impresjonizmu – a jakże odmienne, gdy chodzi o cel i środki.

Całość wystawy niezwykle zajmująca, a dla mnie jej pierwsza część jest trwałym osiągnięciem artystycznym

*Władysław Ratusiński*



## MASTECZKO ZE SNU

Z wielką przyjemnością przeczytałam ostatnio "Sekrety Lagrietty" Małgorzaty Nowakowskiej - Karczewskiej. Tą uroczą opowieścią dla dzieci wpisuje się autorka, polonistka w LO im. C. K. Norwida w Częstochowie, w długą listę marzycieli – twórców nowoczesnych bajek. Warto dodać, że za mistrza w konstruowaniu tego rodzaju światów wyobraźni, gatunku fantasy, uważa się J.R.R. Tolkiena jako autora trylogii "Władca pierścieni".

"Sekrety Lagrietty" na pierwszy rzut oka przypominają "Alicję w krainie czarów" i "O tym, co Alicja odkryła po drugiej stronie lustra". Mała dziewczynka przechodzi do bardzo dziwnego świata i przeżywa w nim niezwykle przygody. Na tym jednak podobieństwa się kończą. Książka Karczewskiej zawierając jak najlepiej pojęte, a przy tym dyskretne przesłanie dydaktyczne wykracza poza granice niepokojącej krainy absurdu "Alicji". Przywodzi już raczej na myśl wędrówkę Małego Księcia czy „Tajemniczy ogród”. Jest w gruncierzeczy podróżą do własnego dzieciństwa. Prezentem pamięci. Cudownym komunikatem z przeszłości. Odkryciem. Do tego stopnia, że chciałoby się wręcz wyznać: Tekla to ja. Bo przecież każdy dorosły był kiedyś dzieckiem i każdy miał swój ulubiony zakątek ogrodu, nawet jeśli był to tylko świat marzeń.

Tekla wyciągnęła rękę, bez trudu odgarnęła przestrzeń jak kurtynę i znalazła się w Lagriecie – kolorowym miasteczku ze snu. Domki mają tukształt otwartej książki, porcelanowej kuli, serca, karpia, naparstka, choinko-

wej bombki. Podążając za dziewczynką poznajemy jego mieszkańców. Jalali sprzedaje zamknięte w flakonikach dobre myśli. Nicyrrella dotykając powiek śpiących niemowląt obdarowuje je marzeniami. Odwiedzamy poetę Kowiata i piękny ogród Ansema. Wraz z Teklą otwieramy i zamykamy światy, delektujemy się kolorami, smakami i zapachami, szczególnie niezwykle chwile chowamy w szkatułce pamięci. Wraz z Teklą docieramy do wróżki Gocyndy, która potrafi przekraczać wrota tęczy. I wraz z dziewczynką w jej cudownej podróży zdobywamy wiedzę na temat tego, co w życiu jest ważne. Początek i koniec opowieści spaja kłamra. Tekla, gdy dostaje zaczarowane buciki, dzięki którym rusza w krainę fantazji, siedzi w ogrodzie. Budzi się w tym samym miejscu, na tym samym pieńku po ściętej moreli.

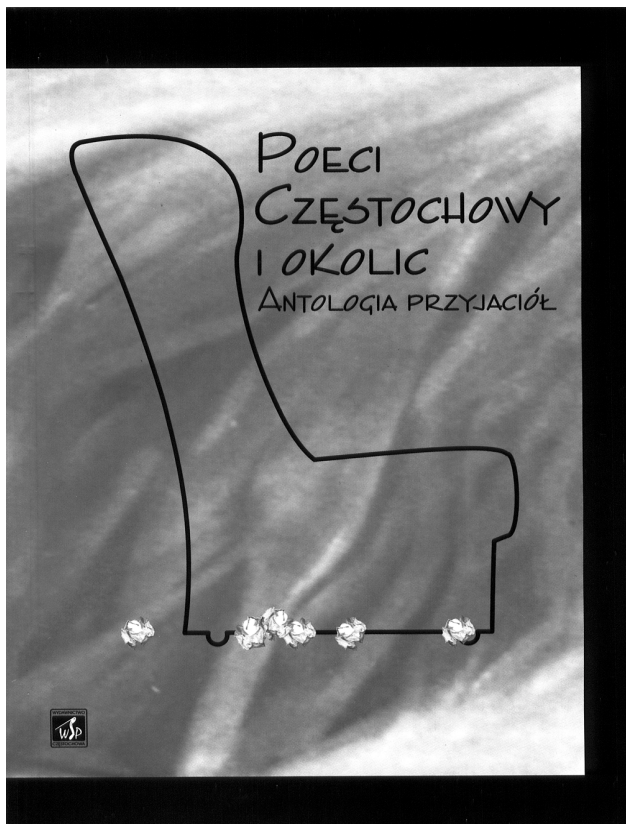
Wielką zaletą "Sekretów" jest wysublimowany, w mistrzowski sposób oddający świeże, dziecięce patrzenie na świat – język opowieści. Także najdokładniej przylegający do poetyckich skojarzeń autorki, która posługując się np. synestezją potrafi nazwać rzeczy nieświadome, ulotne, nienazwane. Potrafi je też zobrazować. Udanej całości dopełniają bowiem barwne ilustracje samej autorki.

"Sekrety Lagrietty" są również znakomitą lekturą dla dorosłych. Ta mądra, pogodna i pełna delikatności książka to opowieść o dzieciństwie odnalezionym. O czymś, z czym żyjemy w ścisłym i bliskim kontakcie. Co wśród trudów i emocji codzienności trwa w nas utajone w milczeniu.

**Anna Purska**

Małgorzata Nowakowska - Karczewska: *Sekrety Lagrietty*,

## ANTOLOGIA PRZYJACIÓŁ



Zmarły w styczniu ub. roku dyrektor wydawnictwa WSP Stanisław Podobiński, człowiek który zbudował tę instytucję od podstaw, miał wielu przyjaciół wśród artystów. Bywali u niego często w biurze lub przesiadywali przy kawiarnianym stoliku, mecenasował im. Staszek zostawił po sobie niedokończony projekt książki, na który złożył się zbiór wierszy jego znajomych, ludzi przez niego docenianych. Książka ujrzała światło dzienne w postaci antologii "Poeci Częstochowy i okolic – Antologia przyjaciół", wydanej przez Wyd. WSP pod red. Elżbiety Wróbel. Pozycja w rodzaju "ku pamięci" jest jednocześnie prezentacją ciekawych utworów, różnych stylistyk, dwudziestu czterech nazwisk, kilku pokoleń. Antologia nie ma ambicji pełnego opracowania miejscowego środowiska poetyckiego, jak np. "Poetycka Częstochowa przełomu wieków" W. Piekarskiego. Bardziej przypomina *Czarno białe rysunki* (Gaude Mater 1995). Nie znajdziemy tu wszystkich podstawowych nazwisk kojarzących się z częstochowską poezją. Jest natomiast niemiecki pisarz Kurt Drawert współpracujący z wyd. WSP. Subiektywny charakter antologii może zmylić czytelnika, a najbardziej tytuł. Być może wystarczyłoby "Antologia przyjaciół"? Chociaż inne spojrzenie na środowisko jest bardzo cenne, trochę odświeża jego wizerunek. Nie wiem, czy w innych podobnych antologiach pojawiły się np. Adam Królikowski mieszka-

jący w Irlandii czy wspomniany już Kurt Drawert. Wspomnę jeszcze o Edycie Sadowskiej, która ostatnie wiersze publikowała 10 lat temu... Ta ostatnia przygotowuje inną księgę pamiątkową – "Pro memoriam" ze wspomnieniami o Stanisławie. Może udałoby się inaczej uczcić pamięć nieodżałowanego Staszka? Np. Nagrodą Literacką im. Stanisława Podobińskiego? Sam przecież chętnie uczestniczył w rozmaitych konkursach...  
(sb)

"Poeci Częstochowy i okolic – Antologia przyjaciół", red. Elżbieta Wróbel, Częstochowa 2004, Wyd. WSP

## AUDIO MATKA

**Najpierw był blog, czyli internetowy pamiętnik. Potem na jego podstawie została wydana książka. Teraz "Matka Mojego Dziecka" Aleksandra Wiernego dostępna jest jako tzw. audiobook.**

Audiobooki (książki czytane przez lektora) z założenia służą ludziom starszym i niepełnosprawnym, którzy mają kłopoty w korzystaniu z klasycznych, "papierowych" wydawnictw. Często używane są jako pomoc dydaktyczna przy nauce języka. Rzeczywistość pokazuje jednak, że coraz częściej sięgają po nie młodzi, zapracowani ludzie, którzy na czytanie (jak sami twierdzą) nie mają czasu. W ten sposób biblioteczne czytelnice zastąpione zostały przez samochody z odtwarzaczami CD.

*Matkę Mojego Dziecka*, opowiadającą o ciąży z punktu widzenia przyszłego ojca, czyta Tomasz Budyta, mający za sobą kilkadziesiąt ról filmowych i teatralnych. Aktor Teatru Polskiego w Warszawie jest znany szerszej publiczności jako odtwórca roli Piotra Bulcyngiera, policyjnego psychologa w serialu "Złotopolscy". Na dwóch płytach znalazła się także muzyka, skomponowana przez Bogusława Grabowskiego i Piotra Prońko (solisty Orkiestry Radia i Telewizji w Katowicach, współzałożyciela Teatru Rozrywki w Chorzowie). Profesjonalna interpretacja Budyty jest dopełnieniem świetnego, pełnego humoru tekstu autora, co sprawia, że słucha się tego jak słuchowiska radiowego. Momentami brakuje wręcz głosu radiowego prezentera, obwieszczającego, że oto kolejny odcinek mamy za sobą. Idealna rzecz do słuchania na wygodnej kanapie w niedzielne popołudnie. Audiobook ukazał się nakładem gdańskiego wydawnictwa *Impet*.

Łukasz Rybak

## TURNIEJ JEDNEGO WIERSZA w OPK "Gaude Mater"

Kwietniowy Turniej Jednego Wiersza o nagrodę Centrum Amatorskiego Ruchu Artystycznego w Częstochowie, oceniało jury w składzie: Waldemar M. Gaiński, Rafał Kasprzak (przew.) i Wiesław Leszczyński. Tym razem, jak orzekli jurorzy, uczestnicy reprezentowali całkiem przyzwoity poziom swoich utworów. Zapewne dlatego obrady jury turniejowego trwały dość długo. Kompromisową decyzją jury zwyciężył – i otrzymał nagrodę w wysokości 100 zł – Ireneusz K. Korpyś, za utwór pt. "Mało erotyczny wiersz".

**Ireneusz K. Korpyś**

### Mało erotyczny wiersz

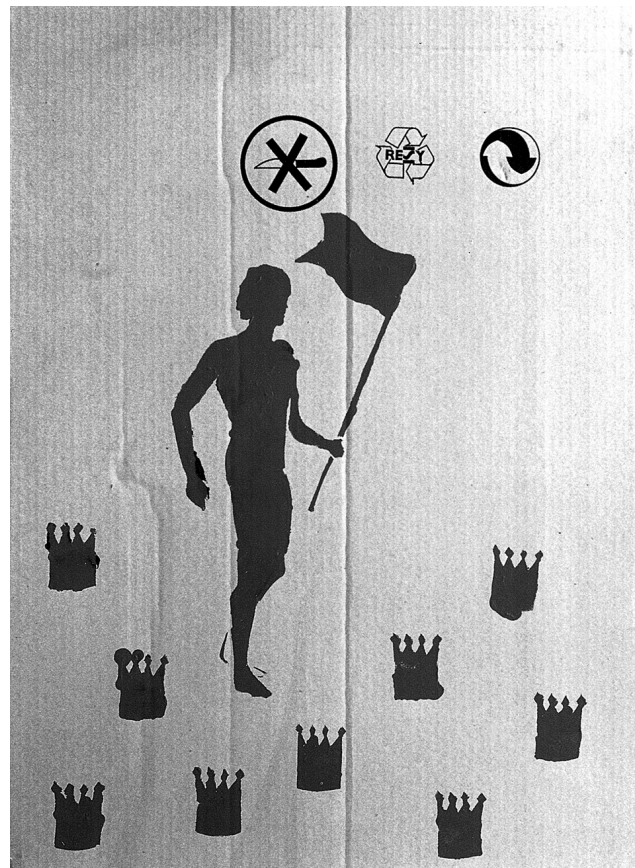
Jestem łatwa w użyciu  
instrukcja dołączona do zestawu  
leży na pościeli  
sprawdź czy jestem ciepła i wilgotna  
rozchyl wargi w mało lubieżnym geście  
i dotykaj piersi  
już dawno zastygły w zachwycie  
wilgotne uda  
krzesło połamane  
spij pot gorzkawy z brzucha  
usta nabrzmiały ochotą  
ostatnia strona instrukcji  
użyj mnie raz jeszcze

W majowym Turnieju Jednego Wiersza jury w składzie: Ryszard Sidorkiewicz, Tadeusz Giermyski i Sławomir Burszewski, po wysłuchaniu 20 autorów wyselekcjonowało teksty Marcina Janochy, Mateusza Szkopa, Małgorzaty Raszewskiej oraz Marty Smoleń jako te, które wyrastają ponad przeciętny poziom prezentowanych wierszy. Po dyskusji nagrodę w wys. 100 zł postanowiono przyznać Marcie Smoleń za wiersz pt. "Wyznanie wiary". Werdykt nie zapadł jednomyślnie, T. Giermyski wstrzymał się od głosu.

*Nagrodzony wiersz Marty Smoleń opublikujemy przy innej okazji.*

Ostatni przed wakacyjną przerwą Turniej Jednego Wiersza odbył się 23 czerwca. Nie dopisała ani publiczność, ani potencjalni poeci. Dziesięcioro uczestników oceniało jury w składzie: Tadeusz Giermyski (przew.), Elżbieta Jeziorowska-Wróbel i Rafał Kasprzyk. Naszymi kandydatami do nagrody byli: Rafał Salamucha, Ireneusz K. Korpyś, Marta Smoleń i Tomasz Kwaśniak, ze wskazaniem na R. Salamuchę. Ci autorzy zdystansowali pozostałych turniejowiczów, przedstawili bardzo dobre, interesujące i więcej niż poprawne wiersze. Jakież więc było zdumienie dużej części słuchaczy, gdy po przerwie przewodniczący ogłosił, że żaden wiersz nie zasługiwał na nagrodę. Komentarz może być tylko jeden: skandal i kompromitacja jurorów! Nie zamieszczamy wiersza czerwcowej edycji TJW, gdyż jury nie wyłoniło laureata, ewidentnie krzywdząc ww. czwórkę młodych autorów. Na koniec byliśmy świadkami jeszcze jednego curiosum. Przewodniczący, pozaprotokolarnie, postanowił prywatnie wyróżnić swoim tomikiem trzy osoby: Ireneusza K. Korpysia i dwie młode adeptki. To doprawdy żenująca forma autoreklamy.

(WMG)



**Jacek Łyczba - Herold**

## KOTY

Waldemar M. GAIŃSKI

Od dość dawna obserwuję koty. Od wielu lat koty są obecne w moim domu, będąc równoprawnymi członkami rodziny. Kocham je i fascynuję się nimi. Koty to wspaniałe drapieżniki. Tajemnicze, wolne i niezależne, harde i sympatyczne. Mają osobowości indywidualistów, poetów... Lubię je jeszcze bardziej niż psy i konie. W moim rodzimym domu było dużo zwierząt. Były psy, koty, wieśniorka, jeź, żółw, ptaki... Ale najbardziej cenię właśnie kota. Na pewno bardziej, niż niektórych ludzi. Bo to wcale nie koty są fałszywe, jak twierdzą liczni durnie... (WMG)

## CZARNY KOT IMIENIEM BARSIK

czarny jak nasza przyszłość:  
jego moja nasza chociaż tego  
jeszcze nikt z nas nie mógł wiedzieć

grzejąc się w promieniach nocnej lampki  
często razem ze mną mruczał wiersze

tracił całą kocią godność  
gdy na obiad była ryba  
zawsze zdążył ukraść  
kęs wątróbki lub wędlinę  
raz się chciał podzielić ze mną  
swoją pierwszą myszką  
którą złapał w czasie nocnych łowów

nie udało się zatrzymać  
małej kocięj duszy  
choć trzymałem go na stole  
kiedy lancet pani doktor  
szukał guza na pęcherzu

ale potem barsik mnie oszukał:  
zdechł gdy po dwóch dobach  
trochę się zdrzemnąłem  
zdążył wczołgać się  
w najciemniejszy kąt pod biurkiem

później krzysiek wroński  
podarował mi go w pięknym wierszu

27 I 2004 r.

## SASZKA

już nie chciałem więcej kotów  
i starannie omijałem miejsce pod kasztanem  
gdzie barsika zasypałem ziemią  
lecz któregoś dnia coś wdrapało się  
po moich spodniach i rozsiało się  
na mojej głowie i musiałem  
iść do sklepu po łąciate mleko  
puszkę karmy i hiszpański żwirek

później saszka razem ze mną  
trzęsła całym domem lekceważąc domowników  
rano mi mruczała swoje sny z ubiegłej nocy  
gdy piliśmy kawę paląc papierosa

saszka się rozwiodła ze mną  
choć nie z własnej woli  
miała zostać u mnie lecz  
ktoś uznał ją za ruchome mienie  
i zawłaszczył żeby nas bolało

saszka urodziła potem  
cały miot nieżywych kociąt

potem więcej o niej nie słyszałem  
choć pytałem i szukałem kocich ścieżek

27 I 2004 r.





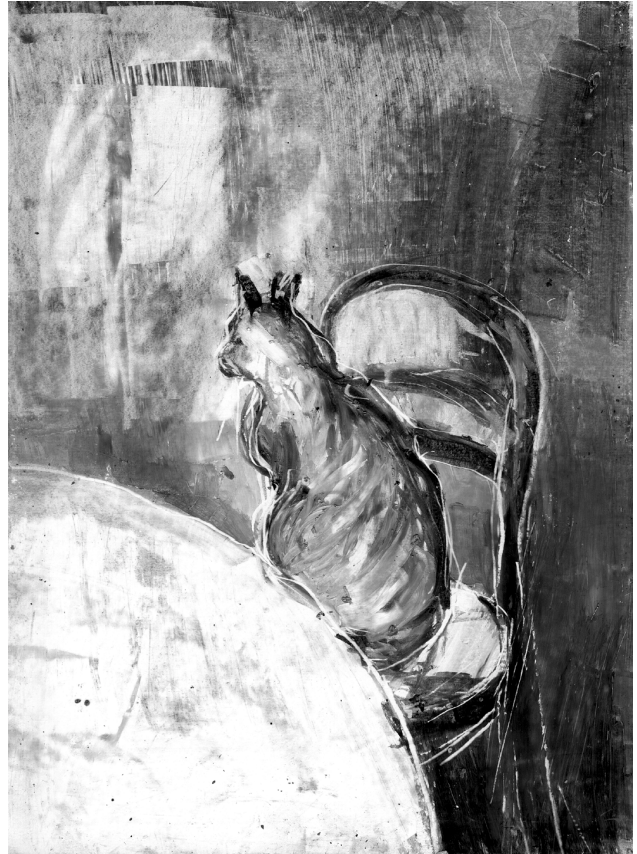
## KSENIA PERSKA PRINCESSA

ksenię nam sprzedała  
 skacowana para na zawodziu  
 szybko opuścili cenę bo ich trzęsło  
 drżeli jeszcze bardziej  
 niż wełniany popielaty kłębek  
 pełen pcheł i zaufania

później była  
 kilkuniedniowa kocia wojna w domu  
 bowiem saszka wcale nie myślała  
 aby dzielić się z przybłądą władzą  
 miską i wpływami a gdy wreszcie  
 zapanował rozejm ksenia – choć  
 księżniczka – znać musiała  
 swoje miejsce miskę i kuwetę  
 lecz maniere miała zawsze  
 raczej wcale nie arystokratyczne

popielaty kłębek – chociaż syty  
 i pieszczony – wciąż wyciera  
 inne kąty w różnych domach  
 i zasypia ciągle z innym panem  
 lecz w tym samym łóżku

*I II 2004 r.*



## SONIA

sońkę przywiózł mi pan andrzej  
 miała mi ożywić dom i życie  
 ale nie byliśmy długo razem

było lato dzień już się obudził  
 ale ja wciąż spałem chociaż  
 wrony głośno świrowały już za oknem

sonia chciała upolować wronę  
 ale  
 małe kotki nie potrafią fruwać

nie wiem czy przeżyła skok  
 lecz  
 otwarte okno jeszcze długo mnie kusiło

*I II 2004 r.*



## DUŚKA

duśka kosztowała nas pół litra  
i być może kilka piw  
lecz ja tego nie pamiętam  
była taka mała że mieściła się  
swobodnie w małej dłoni krysi  
i od razu się przyjęła w naszym domu

teraz było dużo ruchu i radości  
gdy łąciaty kłębek  
walczył o swe prawa przywileje  
i wymusił całkiem inny rozkład dnia  
bo to mnie budziła rano  
prowadziła do lodówki i łazienki  
a na krysi trenowała walki  
łowy i zabawy pokazując  
kto naprawdę rządzi w naszym domu

duśka żyje z nami już od kilku lat  
i wraz z nami jest po kilku przejściach  
dzielnie zniosła podróż do warszawy  
przeprowadzkę drugą kotkę i  
cierpliwie nadal znosi wszystko  
co nam niosą niewiadome i  
nieobliczalne dni

duśka jest kimś ważnym w moim życiu  
prawie tak jak krysia dzieci  
i to wszystko  
o czym mówić  
można tylko z Panem Bogiem

1 III 2004 r.



## FLORKA

małą czarną florę dano nam  
w schronisku dla bezdomnych zwierząt  
gdzieś wśród boksów wypatrzyły ją  
dzieciaki i nie chciały już zostawić

florka była chora  
ale o tym  
jeszcze nikt nie wiedział  
żyła tylko cztery dni  
pośród pieśczęt krysi  
i zazdrości duśki

źle zaczęła mieszkać  
w naszym nowym domu

choć nie była już bezdomna  
zdechła nam pierwszego dnia  
między stosem jeszcze nierozpakowanych  
gratów

4 III 2004 r.



**Waldemar Michał Gaiński**, ur. 16 VIII 1952 w Wołominie. Studiował polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Do 1986 r. związany z warszawskim środowiskiem literackim, od listopada tegoż roku mieszka w Częstochowie. Debiutował blokiem wierszy w miesięczniku *Nowy Wyraz* w 1974 roku. Wiersze, prozę, recenzje literackie i teatralne oraz publicystykę kulturalną ogłaszał na łamach pism: *Aleje 3*, *Autograf*, *Dekada Literacka*, *Dyskurs*, *Dziennik Częstochowski – 24 Godziny*, *Gazeta Częstochowska*, *Gazeta Wyborcza*, *Integracje*, *Kultura*, *Litteraria*, *Miesięcznik Literacki*, *Młoda Sztuka*, *Nowy Wyraz*, *Nurt*, *Okolice*, *Opinia*, *Poezja*, *Radar*, *Sinteza* (pismo literackie b. Jugosławii), *Syrenka*, *Więź*, na falach Polskiego i Czeskiego Radia oraz Katolickiego Radia Fiat. Jego wiersze zamieszczono na łamach dziewięciu ogólnopolskich almanachów i antologii, tłumaczono na języki: angielski, czeski, serbsko-chorwacki i węgierski. Laureat dziewięciu ogólnopolskich konkursów poetyckich i jednego międzynarodowego (Wiedeń 1990). Autor telewizyjnego widowiska poetyckiego pt. *Miasto* (1983, program 2 TVP) w reż. Jacka M. Hohensee. Autor książek poetyckich: *Poemat uliczny* (Warszawa 1977, Premiery), *Asfaltowy blues* (Warszawa 1981, MAW), *Rocznik pięćdziesiąty drugi* (Warszawa 1988, MAW) i *Miasto już przestało boleć* (Częstochowa 1997, OPK “Gaude Mater”). W 1997 r. otrzymał Nagrodę Prezydenta Miasta Częstochowy w dziedzinie kultury za całokształt dorobku twórczego. Członek Oddziału Krakowskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

*Rozmowę z W. Gaińskim zamieścimy w następnym numerze pisma.*

**Ilustracje: Sylwia Perczak**

Agnieszka Sowier-Jankowska

## Pipek - pies wiejski

Hej, jestem Pipek, mieszkam na wsi. Kiedyś mieszkalem w mieście u bogatego państwa. Oboje byli lekarzami. Pewnego razu pojechali ze mną bardzo daleko do lasu, przywiązali do drzewa i odjechali. Zupełnie nie wiem, dlaczego. Byłem wtedy bardzo młody, więc niewiele pamiętam. Znalazł mnie Józek Jasiek i nazwał Pimpek. Potem Józek wpadł pod traktor i stracił część przednich zębów, prawą nogę i trzy palce lewej ręki. Od tego czasu seplenił. Kiedy wołał: Pimpek, wychodziło z tego jakby Pipek i tak już wszyscy zaczęli mnie nazywać. Mieszkam z Józkiem w szkole. On jest taką złotą rączką, naprawia wszystko, co się zepsuje. W zimie pali w kotłowni, a ja wałęsam się tu i tam. Mam swoje sprawy. Wieś nasza jest w kształcie litery L. Moje życie i większość rzeczy, które wam przedstawię, odbywają się w jednej części, za ostatnim przystankiem autobusowym. Dalej jest już tylko droga do ośrodka wypoczynkowego, lasy i góry dookoła. Sercem wsi jest kościół, deptak naokoło niego, obok domostwo sołtysa ze sklepem i kawiarnią-piwiarnią a drogę wyznacza wijący się potoczek, nad którym jest zbudowana. Co prawda nie mamy już wielu prawdziwych zagród wiejskich z całą gadziną i gospodarzami orzącymi, siejącymi i zbierającymi wedle pór roku. Krów mamy mało, tylko starzy chowają, innego inwentarza to ledwo po kilka sztuk na co drugi dom przypada. Nic się podobno na sprzedaż chować nie oplaca.

Wczoraj znalazłem martwego Antka Jaśka, dalekiego krewnego mojego Józka. Szedłem sobie drogą pod lasem, węsząc tu i tam, aż tu w rowie czuję Antka, tylko go nie widać. Był taki zapach, który czuję zawsze, kiedy zagryzam cichaczem kaczkę, albo jak dziecko przewróci się na szkolnym boisku. Wiedziałem, co to znaczy. Siadłem powyżej Antkowego ciała i wylem tak długo, aż przyszła z domu opodal jego matka, aby mnie przepędzić. Nie dałem się, złapałem ją za kieckę i prawie wciągnąłem do rowu. Zaczęła tak strasznie głośno wrzeszczeć, że od razu zlecieli się ludzie. Byłem zadowolony, sprzątną Antka i spokój. Mam kumpla, który mi powiedział, że wczoraj czuł od swojego młodego pana zapach krwi Antka.

Wszystko zaczęło się tak: w starym domu Jaśków mieszkali: starzy Jaśkowie, ich syn Antek i wnuczka drugiego syna, piętnastoletnia Roksanka. Jej ojciec, Mietek, robił przy góralskich chałupach w Zakopanem, a matka Maryna pewnie dupy w Italii dawała, choć pisała, że pracuje w restauracji. Sam pamiętam, jak ją widywałem wieczorami na mojej ulubionej polance z coraz to innymi chłopami ze wsi w różnych dziwacznych pozycjach. Raz nawet spotkałem mojego Józka, ale miał jeszcze wtedy wszystkie zęby, nogę i palce, bo inaczej by takiej babie nie poradził. Roksanka pewnie odziedziczyła po matce "wolę bożą" i tyle. Mówiła babce, że idzie spać i hyc po starej jabłoni przy oknie czmychała. Jesienią zeszłego roku skoczyła mi na łapę, kiedy czałem się na jakąś zapomnianą kaczkę. Do tej pory kuleję. Narobiłem takiego rumoru, że musiała się gęsto starym tłumaczyć, co robi po nocy w ogrodzie. Tak więc jak było ciepło wymykała się pod las do chłopaków, tam gdzie wcześniej jej matka chodziła. Różne

rzeczy wyprawiali ale widać jej pasowało, bo stale chichotała. Przyjeżdżali na motorach po dwóch albo trzech. Mieli zawsze mnóstwo butelek i takich wstrętne śmierdzących trawskiem papierosów. Na początku uważali, żeby ich nikt nie widział, jednak z czasem tak polubili wyć, że Wiewiórowa, co mieszka najbliżej lasu, zaczęła po wsi rozpowiadać, że widziała Roksankę, jak tańczy goła pod lasem. Jej wuj Antek zaczął się w krzakach i zdybał towarzystwo a wśród nich i bratanicę. Pilnować ją zaczął, bo kochał dziewczynę jak córkę i żał mu było, żeby się zmarniła. Kiedyś kochał Marynkę, ale był porządny i przeszkadzały mu jej zachciejki. Zabrał chłopakom główną rozrywkę wieczorów. Zezłili się bardzo i postanowili dać mu nauczkę. Chcieli go tylko postraszyć, żeby się wyluzował, ale jak się rozpędzili i zapamiętali, to zrobili z Antka pasztet i tyle. Resztę już znać. Nie dalej jak wczoraj znowu spotkałem Roksankę tam, gdzie wcześniej jej matka Marynka bywała, robiła dokładnie to, co zwykła jej matka robić w tym miejscu. Już jej nikt teraz nie będzie przeszkadzał. Pogrzeb Antka był piękny. Schodzili z górki w sześciu chłopów z dębową trumną na ramionach spod rodzinnego domu zmarłego. Potem przeszli koło Niewiarów, dalej drogą prosto do kościoła. Z kościoła jeszcze kawał; koło domu sołtysa, drugiego sklepu, końcowego przystanku autobusowego, koło szkoły i dalej prosto ze trzy kilometry na cmentarz. Cały orszak był taki długi, że z końca początku widać nie było. Kto żywi i na chodzie, poszedł. Taka straszna śmierć nie zdarza się często, tematu do gadania będzie pewnie na pół roku albo i więcej. Antek dobry chłop dla wszystkich był, nikt ze swoich źle mu nie życzył a wielu pamiętało, jak zawsze chętnie pomagał.

Lubię chodzić do Niewiarów. Rządzi tam stary Stach Niewiara. Stach ma siedmioro dzieci. Narobił się chłopina. Żona umarła mu rok temu, miała osiemdziesiąt trzy wiosny. Ją też ja znalazłem. Leżała na schodach kościoła. Długo siedziałem i wylem, aż ktoś przyszedł. Pani Cela Niewiarowa zawsze trzy razy w tygodniu sprzątała kościół, plewiła rabaty przed wejściem. Była bardzo religijna, do kościoła chodziła codziennie. Lepszego miejsca na śmierć dla niej nie było. Stary Niewiara zawsze ma dla mnie jakiś smakołyk i lubi pogłaskać. Teraz z drewnianego domku koło rzeki przeniósł się wyżej, do córki Hanusi. Uczy zięcia Zbycha Żabę, cwanego chłopca, co to dziesięć srok za ogon chce ułapić, jak pszczoły hodować i miód produkować. Kiedy wybierają miód pod okiem starego, to wszystko jest w porządku, ale kiedy Zbycho się do tego bierze sam, to cała okolica się chowa. Rozwścieczone pszczoły kasaają wszystko, co się rusza. Mnie ugryzły cztery. Teraz, jak czuję dym okadzania, to nigdy nie idę w tamtą stronę. Zbycho jest sprytny, wybudował trzy domy: jeden dla siebie, drugi pusty a trzeci dla letników. Zajmuje się wszystkim, za co mu zapłacą i jest oszczędny do sknerstwa. Zrobił się jeszcze bardziej zarozumiały, kiedy po dwóch córkach urodził mu się syn. Ale Dawidek nie jest jego, chyba tylko ja o tym wiem i Hanka. Ja nie mogę nikomu powiedzieć a Hanka nie powie, bo nie chce.

Z tymi pszczołami to śmieszna historia. Zbycho załatwia nimi swoje antypatie. Nienawidzi Jędrka, syna starego Niewiary, któremu ten zapisał drewniany dom i warsztat, choć Jędrk mieszka o trzy wsie dalej. Ile razy Jędrk przyjeżdża skosić trawę czy wziąć pieniądze od letników,

to Zbycho robi z pszczołami, czyli wszyscy są pokąsani prócz niego, bo kupił sobie w Austrii specjalne ubranie dla pszczelarzy. Żadna skrzydlata jadowita franca mu nie zaszkodzi, taki jest zakutany. A ule stoją w sadzie przy starym domu, bo Hanka i Dawidek są uczuleni na jad i nie wolno koło ich domu pszczoł postawić. Ostatnio letnicy mieli w starej chacie urodziny. Jedna ugryzła małego chłopca w powiekę i dzieciak tak spuchł, że wylądował w szpitalu. Zbycho tłumaczył się, że w inne dni nie miał czasu, ale ja wiem swoje.

Pole Jadzki z Niewiarów, najstarszej córki Stacha, graniczy z polem Zofii Majerczyk. Czasami chodzę tamtędy, a przy zbiorze ziemniaków, kiedy obie panie toną w zagonach, idę specjalnie posłuchać, jakimi wyzwiskami się obrzucają. Prawie nigdy na dwa metry od miedzy nic nie rośnie. Jedna albo druga coś żrącego leje sąsiadce na brzeg. Nie mogą się dogadać, gdzie ma biec granica. Zofia Majerczyk, zwana we wsi "Panią Zofią", z domu Bielawska, ma się za kogoś lepszego. Nosi się dumnie, a swoje trzy córki wychowała w takim przeświadczeniu o ich wyższości, że nie chcą znać nawet swoich koleżanek ze szkoły. Szczególnie najmłodsza, też Zosia po matce, oczko w głowie rodziców. Najładniejsza we wsi, jak się mówi. Włos blond w lokach, cera gładka, biała i co tu niespotykane dość zgrabna figura. Zosieńka nos zawsze do góry, patrzy ponad głowami innych. Pewnie nie wie, jak krowa wygląda, choć rodzice dwie mają. Paznokcie czerwone, oko uczernione, suknia powłóczysta. Ma córkę, to ciekawe, że w ogóle dała się komuś dotknąć. Mąż przysłał na bycie jej podnóżkiem i spełnianie kaprysów. Przychodzi pomagać, albo raczej służyć Maryjka Słoma – nieszczęsna istota. Ma nie otynkowany domek z pustaków koło szkoły. Znam ją dobrze. Pierwszego syna miała za panny z drwalem, co go drzewo zgmiotło. Drugiego już po zamążpójściu – bo Maryjka ładna, taka rasowa góralka z krętymi ciemnymi lokami, niebieskimi oczami, czerwonymi ustami i rumianymi policzkami. Dobrze na nodze posadowiona, a szczupła w talii. Drugi chłopak miał może pięć lat, jak młockarnia wciągnęła i zmłóciła męża Maryjki, co to do kielicha lubił zaglądać. Została z dzieciskami na utrzymaniu rodziców emerytów. Pole dawno sprzedali, bo to się nic hodować nie opłaca, nawet obórki nie mają. Rodzice starutcy i lada dzień umrą a z nimi i nędzna emerytura przepadnie.

Pech to się jakoś po tej rodzinie ciągnie. Kuzynka Maryjki – Maria Pacek z domu Grzyb, dziewięcioro dzieci urodziła. Chłop pijak i tyle. Żaden pożytek, tylko pił, bił i gwałcił. Józek Pacek mu było. Maria cicho siedziała, bo i gdzie pójdzie z tyloma dziećmi, a i sama bezwolna, tak z domu nauczona, bo ojciec taki sam, jak i mąż był. Pewnego razu Józek tak popił z kamratami, że go siekierą porąbali, bo się przechwalał, że on najdalej naszcza na drogę po dziesięciu piwach. Za tydzień od tego zdarzenia piorun spalił doszczętnie chałupinę Marii Pacek. Dobrze, że ksiądz był nowy w parafii, miastowy, i serce miał dla ludzi otwarte. Tak kazanie przez kolejne niedziele prowadził, żeby miejscowych bogaczy zagrać do współzawodnictwa, że który Marii pomoże to tak jakby Bogu przysługę oddawał. Maria wkrótce zamieszkała w ciepłym domu a pięciu synów pojechało do Austrii na budowy.

Wiecie, bo u nas taka moda nastąpiła, że większość chłopów we wsi nie pracuje normalnie jak Bóg przykazał. Pany się z nich takie porobiły, za marnie grosze do roboty nie pójda. Jadą se do Austrii i za dwa tygodnie mają pięć a czasem jeszcze więcej razy tyle. Tylko tam roboty na stałe nie ma. Jeżdżą tak w kółko na dwa tygodnie, na trzy, czasem i miesiąc potem siedzą w domu czekając, aż ich kto łaskaw poprosi. Czasem i tydzień nie minie, ale czasem, dwa, trzy i więcej miesięcy nic. Ci sprytni to zawsze jakoś się wkręcą, ci co parę razy im się udało, czekają wytrwale, na miejscu za psie pieniądze robić nie będą, choć bieda w oczy zagłada. Jak te chłopcy przyjeżdżają, to ich baby szaleją, jeżdżą do miasta na zakupy, wydziewają, a jedną przed drugą bogaciej się stroi, fryzury zmieniają co tydzień. Te starsze nowe zęby se robią, potem stopniowo zamykają się w domach, przestają tak ciekać, bo i nie ma za co, tylko chłopu łeb suszą, walizki pakują, a jak on nie jedzie, to mu robią modną teraz separację, czyli z łóżka wyrzucają.

Wróćmy do bogaczy, jakich u nas we wsi mamy. Bracia Lis, Piotr i Paweł – szczwane sztuki. Brat i siostra Kazimierz i Krystyna Grzebinogi, Wiesław Kozodój z żoną Anną Lelek-Kozodój. To trzy najbogatsze rodziny we wsi. Bracia Lisowie robią różne ogrodnicze przyrządowania z plastiku: grabie, donice, szufelki, konewki, ostatnio też krzesła i stoły. Zaczynali od długopisów i małej wtryskarki w szopie przywiezionej z roboty w Austrii. Piotr, starszy z braci, ma dwie córki i syna. Żona zmarła mu na atak serca na własnym tarasie. Kto by przypuszczał, przecież 47 lat miała. Paweł ma dwóch synów, jeden z nich, młodszy, to ten, od którego mój kumpel czuł śmierć Antka. Forsa szczeniakom przewróciła w głowach. Rozbijają się po pijaku autami, młodszy nie ma jeszcze prawa jazdy.

Grzebinogi mają hodowlę kur. Ogromne ilości smacznych kurczaków, ale żadnego nie da się wynieść, bo nigdy nie opuszczają kurników. Śmierdzi w ich pobliżu paskudnie. Kozodoje mają przetwórnice mięsa i jeszcze jakieś sklepy.

Za ten czas Hanka bezpowrotnie zabrała ze sobą tajemnicę o Dawidku do grobu i Dawidka też. Ano, chytry Zbych Żaba miał letnika, który chciał wziąć tyle miodu lipowego, ile się zbierze. U Zbycha na podwórzu rosły cztery lipy, nie chciało mu się pszczoł do lasu wywozić, ul przymocował, ale poskapił nowych gwoździ, tylko gdzieś wynalazł trzy zardzewiałe i krzywe, naprostował, wbił jako tako i oparł na nich ul. No i spadł wtedy, jak Hanka wieszła pranie a Dawidek bawił się obok. Lekarz stwierdził, że zgon nastąpił w ciągu 10 minut – uczuleni byli. Mieli takie wielkie sine twarze. Zbycho chciał przesprycić siebie samego i trochę mu nie wyszło. Choć może mu się opłacało, bo po Hance wziął wielkie pole koło rzeki, a po Dawidku nie powinien płakać, bo nie jego był, no tak, ale on o tym nic nie wie.

Pogotowie do Hanka wezwała Oleńka Kamyczurowa, która akurat siedziała w swoim "biurze" na strychu i obserwowwała przez lunetę kolejno wszystkie widoczne domy. Kamyczurowa, stara baba z olśniewającą białą sztuczną szczęką i głęboką czernią farby na głowie. Babsko ma na stryszku lunetę wojskową przywiezioną przez syna z Rosji w czasach kryzysu. Kiedyś służyła jej do obserwacji sklepu spożywczego w dole przy przystanku, żeby wiedzieć, kiedy dowiozą towar i na próżno nie stać

w ogonku. Tak się w obserwacjach rozmiłowała, że teraz spędza całe godziny na podglądaniu i zapisywaniu w specjalnym zeszytce, kto, gdzie, o której z kim co robił, a tego, co nie słyszy, dopowiada sobie z ruchu rąk i ciał, wnioskuje z poprzednich notatek, dodaje krążące plotki i już ma wszystko gracko na tacy przedłożone. Potem tu czy tam rzuci słówko i z lubością patrzy przez swoje szkło, jaki skutek wywarły jej złośliwe uwagi, czasem między skłóconymi dochodzi nawet do rękoczynów. No, ale dla HANKI zrobiła, co mogła, tylko i tak się to na nic zdało.

Wiosną przyjechał do nas malarz z Krakowa, ma się rozumieć prawdziwy artysta. Po wsi rozeszło się, że natchnienia szuka, bo tu górki i dolinki, i strumyki modre a i pola ładnie obsiane, krów mało, ale się gdzieś jakaś znajdzie. Zbylut kazał się wszystkim nazywać, nazwiska i tak nikt nie pamiętał, bo jakieś francuskie było. Wynajął izbę w starej drewnianej chałupie babci Hrynkowej. Naprawdę Regina Skóra jej jest, ale zawsze babcia Hrynkowa wszyscy na nią mówili. Jest to najbardziej szanowana osoba w naszej wsi. Ma 109 lat i ma na to papiery! To taka nasza biała wiedźma, już takich nie ma. Umie leczyć ziołami, zamawiać, odmawiać, wypędzać choroby. Koło jej chaty suszą się pęki ziół, których nazwy tylko botanik wymieni a zastosowanie może bardzo wytrawny zielarz. Babcia Hrynkowa sama wszystko zbiera, przygotowuje napary, mikstury, zaklęcia. Ci starsi bywają u niej często, a ci młodzi ją lubią, bo jest taka "odjazdowa". Pozwala się chłopakom podwozić motorem do chatki, kiedy wraca z lasu z chustą pełną ziół. Piszczy i skrzeczy wtedy z uciechy. Mówi, że lubi takie konie, co same jadą i trawy nie jedzą, na co chłopaki tarzają się ze śmiechu. Chętnie biorą od babci lubczyku na zmiękczenie dziewczyn. Malarz ubłagał córkę i wnuczkę babci Hrynkowej nieopodal w pięknym domu mieszkające, aby wytłumaczyły starowince, że on musi zamieszkać w takiej chałupie, to może odzyska stracone natchnienie i że nigdzie na świecie czegoś podobnego nie znalazł. Babcia miękkie serce ma, Zbylut obiecał jej chałupę i ją samą namalowaną po galeriach na świecie pokazywać, więc się zgodziła a i rozrywki patrzyła. "Stara ale jara" tak młodzież o niej mówi. Rozrywka z tego wyszła, że w kinie na filmie tyle się nie dzieje.

Kozodoje mają trzy córki: Arletta Kozodojówna – najstarsza, Judyta Kozodojówna – średnia i Manuela Kozodojówna - najmłodsza. Piękne pannice. Jak przystało na dorobionych rodziców, wcześniej ubożego wiejskiego pochodzenia, córki chowały na "damy z elity". Ubrane albo raczej kunsztownie częściowo rozebrane, nie zawsze z gustem a częściej bez niego, wysolarowane do granic możliwości, wytapetowane, że skrawka żywej skóry nie widać, nastrzępione i wybalejażowane, jednym słowem porobione mają z sobą wszystko, co aktualnie młodzieżowo modne, czyli wylaszczone i odpicowane na cacy, gotowe do wrywu. Żaden nasz chłopak się takiego towaru nie chyci, bo mu zbyt francuską perfumą jedzie i nie wiedziałby, co z taką lakierowaną lalą robić, a i żadna lala nie obejrzy się za swojskim chłopakiem, bo dla niej to na kilometr od nich wszystkich wsioctwem i gnojem śmierdzi.

Dziewoje znużone stałym przeglądaniem się w lustrze, oszalały na wieść o przybyciu artysty malarza z wielkiego miasta. Zaczęły jeszcze więcej czasu spędzać w łazience

i wykupiły cały zapas pianki i lakieru do włosów w pobliskim miasteczku. Pozamawiały kolejne zestawy do makijażu z Avonu i Oriflame'u a na okrasę toniki i kremy z Amway'a. Tak przygotowane jeły jedna przed drugą cichcem z domu się wykradać i niby od niechcenia przespacerowały koło chatki babci Hrynkowej. Zbliżając się do chałupiny każda wypinała biust, ściągała pośladki, skracała krok i przybiegała minę uduchowionej nimfy w nadziei, że tak piękna twarz może posłużyć artyście jako temat do stworzenia arcydzieła. Ale próżno chodzili. Zaczęły nawet na tych wypadach jedna drugą spotykać. Manuelka, choć najmłodsza, była najodważniejsza, więc zagadnęła w końcu babcie Hrynkowej, co tam pan Zbylut porabia. – A, kochaneczko, źle z tym artystkiem, oj źle, smoczego ziela muszę mu chyba nazbierać. Śpi całymi dniami a w nocy kręci się tylko, posyła Józika sąsiadki po skrzynki z piwem. Znać natchnienie na dobre go opuściło. Po tej informacji dziewczęta, naoglądane brazylijskich i wenezuelskich seriali, zgodnie stwierdziły, że pewnie serce ma złamane i trzeba go uleczyć nową miłością. Muszą mu świeżą muzę podetkać.

Tymczasem u sołtysostwa zdarzył się mały wypadek. Całkiem śmieszny z powodu swojej głupoty, choć z pewnością nie dla poszkodowanego. Syn sołtysa Jana Kieljana, czternastoletni Bartosz i jego równoletni kuzyn, Maciek Wrona, urządzili sobie zabawę. Gdzieś podpatrzyli na filmie, jak jeden drugiemu nożem ziuga między rozczapierzonymi palcami coraz szybciej i szybciej, i ani razu nie trafia drugiego w dłoń. Emocjonująca zabawa. Byłem właśnie u suki sołtysostwa, starej Pepi. Chłopaki wywlekli z szopy obok domu za sklepem pień i starą ciężką siekierę. Najpierw próbowali na trzymanym patyku. Jeden kładł patyk na pniu, a drugi zamachiwał się toporkiem i rypał w pień, z którego patyk powinien być błyskawicznie cofnięty. Czuli się tacy ważni, dojrżeli faceci bawiący się w męską grę. Kiedy żaden z patyków od dłuższego czasu nie był przecięty a refleks mieli jak rewolwerowcy, przyszła kolej na paluchy. Ciekaw jestem, co w tych pustych pałach myśleli, że jak siekierka walnie w palucha to co? Nie utnie? Pewnie ich skurczone i niedotlenione mózdzki od stałego opychania się chipsami, coca colą, red bullem i tego typu gównem nie były sobie w stanie wyobrazić, że może zdarzyć się wypadek. Właściwie to ja jestem winien po części. Stara Pepi zupełnie nie chciała mnie widzieć. Byłem oburzony, zważywszy fakt, że mój kumpel, parchaty i wyleniały Fisiek, dziś rano zadowolony od niej wracał. Taki byłem napalony, że w końcu Pepi rzuciła się na mnie z jazgotem, wbijając mi w tyłek pomarańczowe jak marchewy, chwijające się kły. Akurat Bartek miał wyprężonego prawego palca wskazującego na pniaku a Maciek wziął dobry zamach. Siekierka zaczęła spadać, a że była bardzo ciężka, trudno było raz rozpedzoną zatrzymać. Bartek miał właśnie cofnąć rękę ale uwagę jego odwrócił potworny jazgot na podwórku. Maciek zrozumiał, co się dzieje, kiedy było już za późno. Czuł jakby wszystko działało się w zwolnionym tempie, jakby to on był siekierą. Widział stale zbliżający się palec, aż stał się tak ogromny, że przesłonił mu cały kadr. Głuchy stuk ostrza o drewno i tyle. Siekierka bezpowrotnie stanęła między wskazującym palcem Bartka a resztą dłoni. Wrzask obu głupków był imponujący. Sołtysowa wyskoczyła ze swojego sklepu. Ryknęła

na Maćka, że go zabije jak wróci, porwała wyjącego Bartka, palucha wrzuciła do reklamówki wylądowanej lodami Bambino, przysypała drugą warstwą Big Milków, kazała Bartkowi wetkać tam łapsko jako tako owinięte czystą ścierką i ruszyła z hukiem gaźnika do szpitala w pobliskim miasteczku. Teraz to te likorze wszystko potrafią przyszyć. Chłopak ma palec i nawet nim rusza. Ciekawe, jakby zamiast palców kuśkami myrtali po pieńku przed siekierceką, to czy by dochtor też przyszył? A czy by działała potem? Szkoda, że to był tylko palec. Jeszcze frajdę z tego mają, bo wszędzie opowiadają tę swoją historię i cieszą się, a Bartek goni dziewczyny z tym paluchem wyciągniętym i wrzeszczy, że je zaraz tupim ale zmarłych wstałym ciałem podotyka.

Ale kogoż ja widzę drobiącego nerwowo koło chatki Hrynkowej? Toż to Arletka Kozodojówna skrobie w drzwi paznokietkiem lakierowanymi na kolor dogasającego ogniska. Babka otwiera i dziewczyna coś bardzo żywo rękami tłumaczy, odłożywszy wielgachne pudło, co w rękach trzymała. Babcia Hrynkowa wzruszając ramionami wpuściła dziewczynę korytarzykiem i do izby na prawo zastukała wołając: - Panie artyst, panie Zbylucie, ktoś do pana przyszedł, a ucieszy se pan oko niepomiernie takim widokiem. To mówiąc otworzyła drzwi i wepchnęła Arletkę z pudłem do środka. - Ja, proszę pana, przyszedłam... Urwała, przelykając nerwowo ślinę, zlizując kapiący nadmiar szminki i błyszczku z sercowatych usteczek, i mrugając wytuszowanymi na granat rzęsami. - To widzę - mruknął tubalny głos z wyrka pod ścianą. Arletka przypominając sobie, że wygląda zniewalająco w tym wszystkim, co na siebie nałożyła, odzyskała pewność siebie. - Proszę pana, pomyślałam, że skoro jest tu tak blisko artysta malarz, to ja mogłabym zasięgnąć porady. To mówiąc, postawiła pudło na zaścielonym puszkami i flaszkami po różnych alkoholach stole, uśmiechając się powalającym uśmiechem numer 6, który miał być czarowny i nie pozwalający obdarowanemu na żaden wybór. Zbylut poczochnął się po kołtunie, beknął, przeprosił i usiadł na barłogu. Arletka tymczasem zgrabnie powyciągała kartki i rozkładając je po podłodze pilnowała, aby schylając się to tu, to tam, raz wypinać tyłek, paskiem stringów w stronę zainteresowanego, bądź świecić dekoltem mocno podkrojonym i stanikiem za dwie bańki w kolorze "zachodu słońca na Hawajach", opiętym na pokaznym biuście. Pewnie tak dorodnie wybujałym na hormonach ze spożywanego drobiu. Swojskich kur się nie hoduje, bo nie przystoi, żeby takie paskudztwo srało na angielskiej trawce u bogatych panów, co to co roku na Kanary jeżdżą. Zbylut aż usiadł porządniej, kiedy oczom jego ukazała się pełnia warsztatu pańien Kozodojównien. Były to olówkowe zrzynki z plakatów typu: chłopak całuje dziewczynę. Arletka stwierdziła, że chciałaby zostać malarką i bardzo pragnie, aby pan artysta został jej nauczycielem. Zbylut, choć obecnie malarz bez muzy, jednakowoż był nim w rzeczy samej i myśl uczenia kogoś tak pozbawionego choć skrawka talentu i wyobraźni, wydała mu się potworna, ale z drugiej zaś strony, jak popatrzył na całokształt stojący przed nim, młody, świeży i chętny, jak wszystko na to wskazywało, co dawno mu się nie przytrafiło, szybko swój smak artystyczny odwiesił na kolek, jak wieształ tam czasem uczciwość, godność czy oryginalność. I tak zaczęły się lekcje u prawdziwego artysty. Najpierw chodziła tylko Arletka, za jakiś

czas i Judyta, no i potem Manuelki też, starsze nie strzymały, aż w końcu tak jedna przez drugą chciała, że chodziły we trzy. A co się działo, to lepiej zmilczę, w każdym razie choć młode, były dobrze wyuczone z wszelkiej literatury teoretycznej a malarz był całkiem niezgorszym trenerem praktyczno-technicznym. Babcia Hrynkowa zacierała tylko ręce i przez siebie tylko wiadome szpary oglądała co dzieje soft porno albo hard porno, zależy, czy była jedna czy wszystkie trzy. Wcisnęła dziewczynom specjalne ziele na uniknięcie kłopotów, ale wołały wierzyć swoim tabletkom, których we trzy zjadły w miesiącu 84 sztuki. Biorąc po uwagę, że młodsza część kobiet w naszej wsi też chętnie lyka pastyle, to niezłą kasę robi apteka w miasteczku. Nawet co światlejsza gospodyni prócz siebie to i sukum, i kocicom aplikuje takie dobrodziejstwo antybobocianowe.

Spocznę sobie nieco na deptaku koło kościoła. Jest początek sierpnia. Żar jak w piecu chlebowym, susza tak doskwiera, że w domach położonych wyżej wysychają studnie. Ludzie chodzą do źródełek leśnych po wodę do picia, a do podlewania beczkami wożą z rzeczki, która teraz jest już taka cienka, że mogą ją przeskakiwać. Od pięciu lat deszcze nie padają, kiedy ziemia tego najbardziej potrzebuje, może będziemy tu mieć kiedyś pustynię. Wtedy pewnie zmieniłbym się w pieska preriowego.

Kręciłem się koło kurników Grzebinogów w nadziei, że może jakimś cudem wydostanę choć jedną tłustą kurkę, aż tu patrzę, po drodze pięknie wysypanej hasiem, jedzie swoim niedzielnym kościółkowym białym oplem Zbych Zaba. Oj, cosik musi knuć, bo nigdy tu nie zaglądał. Jak już wam kiedyś powiedziałem, Zbycho lubi wiele srok za ogon trzymać. Przyjechał rozpatrzyć się za małymi nioskami, bo stwierdził, że będzie zakładał fermę. Na początek malutka hodowla na własny użytek, a potem może co więcej. Jak on będzie te kury tak hodował i doglądał jak pszczoły, to ja się najem do syta, bo będą ganiały samopas. Coś mi się widzi, że Zbycho jeszcze jakiś zamysł ma. Chyba miałem rację. Wyobraźcie sobie, że kupił te nioski, sklecił im kurnik, ale co i rusz jedzie do Grzebinogów po poradę: gdzie najtaniej kupić paszę, ile razy dziennie karmić, jaka temperatura ma być w kurniku, czy robić grzędy, czy gniazda słomiane, czy z siana itd. O wszystkie te rzeczy rozpytuje Krystynę Grzebinogę, i to tak trafia, że jej brata Kazimierza nie ma w domu. A wiecie, co Zbycho wczoraj zrobił? Czaiłem się właśnie przy ogrodzeniu, aż tu patrzę i oczom nie wierzę. Złapał trzy podrośnięte nioski i zdusił je, rzucił każdą w inny kąt ogrodu, wsiał do auta i pojechał. Za dwadzieścia minut wrócił z Krystyną, bardzo rozgorączkowany coś jej tłumaczył wymachując rękoma. Wydawał się tak przejęty, zrozpaczony, miałem wrażenie, że się zaraz rozplacze. Wciąż powtarzał: - A tak o nie dbam, jak o własne dzieci. Krystyna podniosła jedną z nich, obejrzała wprawnie i zawyrokowała, że nie wyglądają na chore, tylko na zaduszone całkiem niedawno, ale nie wie, przez jakie zwierzę bo nie widać śladów ugryzienia, dziwne jest, że żadna nie została choćby nadgryziona. Zbycho, zupełnie nie wytracony, z równowagi jał biadolić dalej, że może to zazdrosny sąsiad. Tak lamentując wepchnął Krystynę do swojego domu, gdzie obiecywał jej kawę i dalsze roztrząsanie tematu. Teraz pojmujecie, na co kupił te nioski i zdusił trzy? Krystyna Grzebinoga, stara panna lat 39, a nasz Zbycho 35 rok ma, ale co mu tam, teraz wolny jest a Kryśka ma

majątek dość spory, bo ferma świetnie idzie. Potrafi nasz Zbycho być czarujący jak mu zależy, szczególnie, jak chodzi o pieniądze. Babkę podebrać tak umie, żeby mu z ręki jadła. Pewnie stwierdził, że nie taka stara, syna mu urodzi a forsa to forsa, jest okazja, to brać trzeba, bo jeszcze inny się ocknie i sprzątnie tłusty kasek. Kryśka nie piękna jest, ale zadbana, mocna kobieta, nigdy nie choruje, nie narzeka, a do pracy bardzo chętna.

Połowa sierpnia, upały nie zelzały, deszczu dalej nie widać. Ziemia jest tak popekana i porowata, jak stare krowie łajno. Wszystko dojrzewa dwa tygodnie wcześniej. Drzewa owocowe wybitnie obrodziły. Na zakolu, koło sołtysa, ludzie wyrzucają furi gnijących jabłek i śliw. Osy ze smrodkiem słodkawo-gnijącym objęły pospołu tamtą okolicę. Leżą pod żywopłotem na boisku szkolnym. Przeczekał największy upał. Rozgrzane powietrze drży. Może przyjdzie jakieś dziecko na huśtawki i da mi cukierków?

Afera na całą wieś poszła wczoraj, że Roksankę, wiecie, tę od Marynki i Mietka Jaśków, wykorzystywał pedofil! W naszej wsi taki wymyślnik z zachodu! I to nauczyciel wychowania fizycznego – Wiesiek Jego. Toż baby pobrały widły i chciały zakłuć wyuzdańca, jak poszła taka wieść po wsi, ale na jego szczęście policja go wcześniej zabrała. Podobno to już trwało jakiś czas, a teraz wyszło szydło z worka, bo Roksanka już nie zdołała ukryć sześciomiesięcznej ciąży. Wzięta na dywanik do pani dyrektor, wszystko powiedziała, co i jak było, i że to pan Jego jej kazał takie różne rzeczy wyprawiać a zagroził, że jak powie, to ją wszędzie znajdzie, uszy i nos obetnie tęym nożem. Na to wszystko została zawezwana policja i sądy teraz będą. Szkoda, że nikt mnie nie spyta, bo ja wiem, jak było. Biedny Wiesiek Jego ma okropnie brzydką choć miłą żonę, Basię Jegową, córkę młodszą od Roksanki o rok, której jest Jola Jegówna i synaczka rocznego, Danielka Jego. Miła rodzina. Nie raz tam resztki wyjadałem z koryta dla kaczek i nikt mnie nie przepędzał. A Roksanka, wiecie, co pod lasem wyprawiała, to i stamtąd kłopot jej cały, tylko nie wie z kim, bo zawsze wszyscy kolejno byli, ilu ich tam nalazło. Tak więc, kiedy wiosną połapała się w czym rzecz, zrobili naradę, uradzili, że najlepiej wkręcić kogoś, kto jest nieco niepozobierany, da się łatwo zastraszyć, jak nie będzie chciał się przyznać, jest porządny i ma z czego alimenty zapłacić. Jakoś tak na Wieśka padło. Pozostało tylko go przekonać, że to jego robota. Roksanka została po lekcjach na czatach a dwóch jej kołesiów zaczęło wracającego do domu Wieśka. Zaczęli wspominać, że ich kiedyś uczył i był takim świetnym fachowcem i w ogóle, to nie może odmówić im wspólnego piwa. Wiesiek wiedział, że zeszli na „złą drogę”, a że był dość strachliwy, wolał sobie biedy nie napytać i na jedno piwo się zgodził. Poszli do kawiarenki, prowadzonej przez żonę sołtysa przy sklepie, a tam już w kątku niewinnie spoglądając jadła lody Roksanka. Przysiedli się więc do niej i niepostrzeżenie wrzucili do piwa przyszłego pedofila mocny środek usypiający. Potem gościa zanieśli na szkolne boisko, obsypali podartą i pokrwawioną

bielizną Roksanki. Wieśka też rozchełstali, gacie mu spuścili, wysmarowali krwią z rozciętego w tym celu palca Roksanki, parę zeszytów pogniecionych ale starannie podpisanych „Roksana Jasiek” zostawili, żeby wiedział, z kim miał taką przyjemność. Zupełnie ich nikt nie widział (prócz mnie oczywiście), bo było to w przeddzień przygotowań do pogrzebu Antka Jaśka. Wszyscy kręcili się wokół kościoła albo siedzieli zadumani w chałupach. Od tego czasu Roksanka miała beczeć na zawołanie, kiedy spotykała Wieśka, a na wuefie prosić o zwolnienie z powodu bólu brzucha i rozpowiadać koleżankom coś nieoś o tym, jakoby ją zgwałcił. Wiesiek miał próbować dojść prawdy, tak się przeraził rzeczą zupełnie niepojętą dla jego rozumu jaka go spotkała po jednym piwie, i nie wietząc w swojej głupocie podstępnie, zaczął zachowywać się jak winny, uniikał Roksanki, zwalniał ją bez gadania z każdej lekcji gimnastyki. Dobrze chłopaki wybrali kozła ofiarnego. Ale zapomnieli, że teraz to nie takie tam poszlaki, tylko dowody naukowe się liczą. Tymczasem Roksanka powiła córeczkę, nazwała ją Wiktoria. W badaniach genetycznych wyszło, że i owszem miała jest jej córką, co i tak było niezaprzeczone, ale Wiesiek nijak ojcem być nie może. Na to Roksanka wyparła się dziecka, choć je pół roku chowała, i chciała oddać do adopcji, ale szczęściem jej ojciec a dziadek dziecka się zjawił zapowiadając, że drugiego wstydu nie przeżyje i jak dziecko jest to jest, że to jego wnuczka z jego krwi, ma rodzinę, nie będzie się po obcych płatać, i że on sam ją adoptuje. A rzec to się może, i owszem, ale Roksanki, skoro jest takim diabłem wcielonym.

Nastał wrzesień – pora wykopków. Ziemiaki obrodziły, choć z powodu suszy rozsypują się w gotowaniu. Będzie wieś jadła francuskie puree. Buraków, marchwi, selerów i rzepy też sporo, przynajmniej u tych, co podlewali. Może na tej gnojówce z rzeki tak dobrze porosły. Skoro taki urodzaj, to i Zbycho Żaba dopiął swego. Tak Krystynę pytaniami o kury zadreślał, że wolała chyba być na miejscu i radzić mu w każdym przypadku. Swojego uroku też użył, baba tańczy jak on jej zagra. Kazimierz Grzebinoga, brat Krystyny, nie jest zadowolony obrotem sprawy, bo podejrzewa Zbycho o chytryść na pieniądze, a nie o miłość do Krychy. I pewnie ma rację. Ślub i huczne weselisko było, Zbycho się pokazał za pieniądze swojej żony, podróż poślubna na Kanary też była. Krysytna, jak to Zbycho rzekł, wróciła zaciężona i bardzo szczęśliwa.

Tymczasem u sołtysa znowu się narobiło, ale tym razem to już na amen. Kilku chłopców z sąsiedztwa, Bartosz z bratem Dawidem i Maciek ganił się po podwórku. Gorąc był niemiłosierny, więc sołtysowa wyniosła im butelki z lemoniadą, a kiedy została tylko jedna upita do połowy, urządzili zawody, wpiwając na odległość, żeby pęcherz nie przeszkadzał w biegu 10 razy dookoła ogrodu, a nagrodą miała być resztki lemoniady. Wygrał na swoje nieszczęście Dawid, tuż za nim biegł Maciek, chciał go wyprzedzić, więc Dawid złapał butelkę, wlał całą zawartość w siebie jednym haustem, nie patrząc, co pije. A w butelce, skuszonych słodkim zapachem, siedziało dwanaście os. Skłuły go elegancko po przelicy. Chłopak w ogóle nie wiedział, co się z nim stało, spuchł w takim tempie od środka, że nie mógł nawet powiedzieć, gdzie go boli. Dość na tym, że



zanim go sołtysowa dowiozła do szpitala, skonał dusząc się. Nie zawsze warto być pierwszym. Pochowano go w dwa dni po weselu u Żabów.

Wiosną roku następnego, w maju, miały miejsce dwa dla nas doniosłe wydarzenia: przyjechała żona Zbyluta i Krystyna, teraz Żabowa, powiła syna. Miało mu być Dawid, ale po nieszczęśliwym wypadku u sołtysa zmieniła na Daniela (w mojej wsi, gdzie splunąć, tam Dawidy i Daniele). Żona Zbyluta, pani Dobrawa – co za kobieta! Słyszałem, że chłopcy mówili o niej, że jest taka sucza, jak przechodzi koło nich, to wszyscy z gaci mają namioty. Suki to ona mi nie przypomina, ale jest jakaś taka drapieżna i ma dużo gołego i kształtnego ciała. Dupą to tak zawraca, jak idzie, że obija framugi w drzwiach, a drobiąc na szpilkach, trzęsie w równym stopniu bujnymi rudymi lokami, jak i wielgaśnymi cyckami. Przywiózł ją sobie z jakiegoś orawskiego pleneru i szybko pożałował. Baba miała niezwykły talent do rządzenia swoim otoczeniem, nie znosiła żadnego sprzeciwu, więc Zbylut zaczął jej uciekać, a ona gonić go jako swoją prywatną własność, przynoszącą niezłe dochody. Jakimś cudem namierzyła męża, choć nie opowiadał nikomu, gdzie będzie naprawdę, raczej sugerował pustynie w Australii jako temat swych arcydzieł, chcąc żonę wyprawić w poszukiwanie daleko od siebie. Fakt, że miał spokój przez prawie rok, wcale go nie pocieszył. Udobruchała się nieco zobaczywszy obrazy. Masę obrazów. Dobrych obrazów. Nie musiała się dowiedzieć, że aż trzy muzy pracowały wytrwale dzień w dzień, żeby ten płomień sztuki nie zgasł. To, co się zaczęło wyprawiać teraz w chatce babci Hrynkowej, nie opiszę, bo mam trochę wysydu i przyzwoitości. Dość na tym, że babcia Hrynkowa od patrzenia odmłodziła ze 20 lat. Może Dobrawa z Orawy przewąchała powód nagłej eksplozji talentu męża, bo pozwoliła mu zostać u nas tylko tyle czasu, ile wymagało skończenie ostatniego obrazu. Potem bieduchnę spakowała, uregulowała jego rachunki i prawie jak spętanego niewolnika odwiozła do Krakowa, każąc resztę malować ze szkiców. Sama zajęła się sprzedażą mężowskiej płodności, uzyskując całkiem niezłe sumy. Trzy gracje: Arletta, Judyta i Manuela, popadły w takie otepienie po stracie mistrza, że jak mi Bóg świadkiem, choć nie przepadam za nimi, bo mnie zawsze odganiają, to teraz żal mi ich z całego serca. Poczciwina Hrynkowa nie mogąc patrzeć na ich rozpacz, zadała dziewczętom jakichś ziół sproszkowanych i rozartych grzybków suszonych. Chyba im to na zdrowie poszło, bo teraz całymi dniami chichoczą, choć dalej nie zaglądnę do lusterek, a oczy zrobiły im się jakieś takie wielkie i ciemne, ale co tam, ważne, że przestały ryczeć po kątach i wrzeszczeć na siebie.

I znów kolejne lato, równie upalne jak poprzednie. Dzięki pobytowi pana Zbuluta najeżdżało się całe mnóstwo podejrzanych indywiduów w poplamionych farbami ubraniach. Podobno z Akademii są i mają z nich być też artyści. Wynajęli pokoje u sołtysa. Całymi dniami siedzą w plenerze – tak mówią o swoich wypadach w las, gdzie sztalugi i płótna poniewierają się w krzakach ledwie podmalowane, a oni leżą obok pijani na umór. Wszyscy mają takie dziwne oczy, jak Kozodojówny.

Słyszałem, że mają tworzyć jakieś happeningi i sztuki ziemi w lesie za tydzień. Dziewczyny całkiem ozdrowiały,

zacięły się do tej sztuki, kontynuują nauki z tymi oberwańcami, po społu leżąc z nimi w trawie a w przerwach coś paprzą na płótnie.

Słodki Boże, czuję coś okropnego w powietrzu. Przechodziłem wczoraj koło domu Oleńki Kamyczurowej. Jak nigdy mnie nie woła, tak teraz cmokała, gwizdała i rzucała takie pachnące kawałki słoninki, że dałem się skusić. Największy kąsek wrzuciła do komórki przy kumiku. Jak tylko tam wszedłem, drzwi się zamknęły. Za jakąś godzinkę dołączył do mnie mój kolega Fisiek, stary Azor od Niewiarów i dwa zupełnie mi obce psy, mówiły, że są bezpieczeństwa, z miasta. Wieczorem przysłała Oleńka z synem. Szkoda, że nikt nie był w pobliżu ze Związku Obrony Praw Zwierząt, może by usłyszał nasze wycie. Nie będę się rozwlekał, co z nami porobili, dość na tym, że było to zupełnie niehumanitarne. W efekcie tych działań jestem teraz kiełbaską tak jak moi kumple. Zaniesiono i sprzedano nas sołtysowej, zliła się, że miało być więcej, bo artyści mają niezły spust.

Nadszedł dzień happeningów. Sporo ludzi poszło się pogapić, bo to coś nowego, potem będzie temat do obgadywania na jakiś czas. Sztukmistrze porozbierały się do rosołu, powywdziewały w dary lasu i tak latały, obrzucając siebie i gapiów workami z płynnymi farbami i wcześniej w tym celu zgromadzonym krowim łajnem a może swoim też – kto wie, co w genialnych twórczych głowach załąc się może? Widownia oburzona i w najwyższym stopniu zde gustowana nową sztuką wycofała się zlorzecząc. Artyści byli już w takim szale twórczym, że zupełnie nie zauważyły zniknięcia odbiorców i dalej zapamiętałe tworzyły sztukę, podniecając się coraz bardziej swoją oryginalnością. Oczywiście, trzy Kozodojówny też tam były.

Pooozaaar!!!! Ludzie, las się pali! Te cholerne artyści chciały se na koniec swoich działań poskakać przez ognisko. Przez stałe upały ściółka leśna zrobiła się sucha jak skóra studziesięcioletniej babki Hrynkowej. Ogień w mgnieniu krąg, odcinając wszystkie drogi ucieczki porozbieranym twórcom. Chyba zanim zdali sobie sprawę, co się dzieje, to już ich zdusiło. I tak nie byli zdolni do szybkich działań po tych swoich środkach na pobudzenie genialności. Kto żyw, pobiegł z wiadrami gasić. Sołtysowa zadzwoniła po straż i sama poleciała pogapić się, jej pożar nie zagraża, bo daleko od lasu mieszka. Chata Wiewiórowej cała w ogniu stoi, dach Zbycha Żaby płonie, przywiało i do Kamyczurowej, tej to nie żałuję, niech się żywcem zjara. Że też nie mogę się ruszyć, pogapił bym się z chęcią, żeby móc wam dokładniej wszystko przedstawić.

Nastał wieczór. Sołtysowa przygotowała kolację dla artystów – domyślcie się co, między innymi było w jej składzie? Hej, Pepi nie wachaj mojego talerza, oj, oj co ty stara głupia suko robisz! Zostaw, to przecież ja! Pipek!

*A. Sowier - Jankowska*



Jacek Łyczba - Aniol

## Tadeusz Giermyski

## ANIOŁ

Żonę miałem normalną. Ani za dobrą, ani za nie-dobrą. W krótkim zresztą narzeczeństwie wydawała mi się aniołem. Nie miała tylko skrzydeł, za to ładną twarz, długi, gęsty warkocz, śliczny biust i cudowną nieśmiałość. Zobaczyłem ją pierwszy raz w bieli, była bowiem w pracowni chemicznej, gdzie przelewała, odlewała jakieś kwasy, sole. – Anioł – pomyślałem – taka cudnie biała na zewnątrz i wewnątrz ... Na tym samym wydziale i w tej samej grupie studiował mój brat. Któregoś dnia poznał mnie z Aniołem. Byłem wniebowzięty. Szybko nastąpiły zaręczyny w łódzkim parku Julianowskim, dokąd poszliśmy całą gromadą wypiwszy przedtem kilka butelek wina. Ale zaręczyny zostały niemal zerwane. Z mojego powodu, ponieważ za białą bluzkę narzeczonej wsunąłem małą, zieloną żabkę. Narzeczone oszalała ze strachu i gniewu na mnie. Nie wiedziałem, że ma taki uraz do tych stworzeń. Ja boję się węży i myszy. Maria czuje wstręt do pajaków i żab. Ale po dwóch godzinach wybaczyła i nawet się uśmiechnęła, gdy zieloną żabkę włożyłem sobie do ust, udając, że ją zjadam. Anielska dobroć wzięła górę.

Minęło pół wieku. Aniołowi powoli usychały wyimaginowane przeze mnie skrzydła. Barwna aureola stała się podobna do dymku papierosa. Żyłem jak z kobietą – żoną, a nie z istotą nadziemską. Nieraz się nawet kłóciliśmy. Były też ciche dni. Normalnie.

Ale wracam do teraźniejszości. Przed miesiącem przewiał mnie na przystanku autobusowym silny wiatr. Maria (dawny Anioł) poradziła mi położyć się do łóżka, tym bardziej, iż miałem gorączkę. Dała mi jakieś pigułki i sok malinowy. Zasnąłem. Obudziłem się nazajutrz zupełnie zdrów. Marię natomiast coś bolało w plecach i to dość silnie. Zaraz po śniadaniu poszliśmy do lekarza. Przepisał, opukał, prześwietlił plecy i nic nie znalazł. Dał jakiś środek znieczulający, po użyciu którego ból ustąpił. Na drugi dzień wstałem, jak zwykle, bardzo rano i cicho wszedłem do pokoju, gdzie spała Maria. Stałem nad łóżkiem, spojrzałem na jej twarz. Oddychała rytmicznie, twarz lekko zaróżowiona i jakby dużo młodsza. Zdumiało mnie jednak coś innego. Z obu stron kołdry wystawały dwa białe skrzydła! Przywidzenie? Dotykam ręką. Miękkie, delikatne pióra! Zawołałem głośno po imieniu do śpiącej. Otworzyła oczy, uśmiechnęła się, pytając – Co?

– Na czym ty leżysz, na jakichś skrzydłach? – Nie na “jakichś”, tylko na swoich. – Możesz wstać?

Maria podniosła się z łóżka. Zdumienie moje sięgnęło szczytu Jungfrau. Miała skrzydła jak ptak, jak anioł! – Czemu się dziwisz? Przed 50 laty mówiłeś, że jestem prawdziwym aniołem i tak mnie długo nazywałeś... – Ale to był młody aniołek i umiał

prawie fruwać. – Ziemskie anioły w przeciwieństwie do niebiańskich też się starzeją. Ale fruwać nie zapomniałam.

I uniosła się aż pod sufit, machnąwszy leciutko skrzydłami. To naprawdę ludzki Anioł – pomyślałem. Zestarzała się tak jak ja, ale Aniołem pozostała. Nie mogłem wątpić patrząc na jej powrotny lot na dół. Żona była Aniołem jak sądziłem kilkadziesiąt lat temu.

Od tego momentu odmieniło się nasze życie. Na dobre, bo przecież miałem w domu żonę – Anioła. Minus tkwił w jej uskrzydleniu. Gorące lato, jak tu chodzić w mieście ze skrzydłami u ramion? Chodziła więc żona w lekkim płaszczu, który jej wyrosłe dwie cudowności. Kiedyś niespodziewanie wszedł do nas sąsiad i zobaczył Marię ze skrzydłami.

– Wybieramy się na bal maskowy – wyjaśniłem. Koło emerytów urzędnika – dodałem. – Ja, ja zaś – spojrzałem mimo woli na rogi jelenie w przedpokoju – będę diabłem! Sąsiad zerknął na nas podejrzliwie.

– A to życzę miłej zabawy! – dodał, chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz zdążył tylko otworzyć usta, albowiem żona – anioł machnęła leciutko skrzydłami i, ku mojemu oraz sąsiada zdumieniu, uniosła się aż pod sufit. Gość z otwartymi ustami wybiegł z mieszkania. Maria stanęła na dywanie.

– Nie fruważ przy obcych ludziach – powiedziałem. – Chciałam go trochę uanielić. – Wystraszyłaś go tylko, wyglądał jakby zobaczył diabła nie anioła. Cały blok, aniołku, będzie o twoim przypadku wiedział. – Tego wstydzić się nie muszę.

W każdą niedzielę zwykle jechaliśmy poza Olsztyn odetchnąć świeżym powietrzem. Przyszła niedziela.

– Pojedziemy? – pytam Marię. – Polecimy – odpowiada. – Taka anielska nie jesteś – powątpiewam. – Spróbujemy – kończy rozmowę. – Tylko ubierz się ciepło.

Wychodzimy przed blok. Ranek, żadnych ludzi w pobliżu. Maria szybko zdjęła płaszcz odslaniając swe uskrzydlenie, wzięła w swoją dłoń mężowską rękę i ... poszybowała w górę, w górę, kilka tysięcy metrów nad ziemię. Wylądowaliśmy na zielonych wzgórzach między lasami olsztyńskimi a Biskupicami. Rozłożyliśmy koc, zjedliśmy drugie śniadanie. Słońce zaczynało przygrzewać, skowronki wsiąkały w rozświetlone niebo, wieńcząc nas ze wszech stron swoim dzwonieniem. Po godzinie Maria wstała mówiąc: – Mój płaszcz zabierz do domu, ja muszę polecieć dużo wyżej niż te skowronki, tylko ja sama...

– Dokąd? – zapytałem. – Na jak długo? – Na trzy, cztery tygodnie. – A kto mnie będzie przyrządzał posiłki? – Dasz sobie radę, jak bardzo będziesz chciał.

Lekko jak na jej wiek podskoczyła i już jej nie było. Po kilku sekundach roztopiła się w niebieskości. Ale dała mi jeszcze znak. Kwadrans później, gdy wciąż stałem z zadartą głową, spadła do moich nóg gałązka jaśminu.

Oczywiście od Marii. Miała ją w ręku, gdy odfruwiała. Romantyczne to – pomyślałem – lecz kto przez kilka tygodni będzie mi gotował, stawiał na stół i w ogóle pielęgnował?

**Dorota Klajn**

## CZĘSTOCHOWA

Jestem niepotrzebna, w czasie małej Częstochowy, nie tylko niepotrzebna, ale przeszkadzam. Wtrącam się w bieg minut, wiszę na wskazówkach ratuszowego zegara, lub zegara na poczcie, który kiedyś był lśniący czerwony. Psuję jakiś porządek. Myślę tak na pocieszenie, bo czas zapomniał o mnie. Bez funkcji, bez rozkładu jazdy autobusu 23, żadnych porannych pobudek, żadnego pędzenia wzdłuż alei, nie pamiętam ceny ulgowego biletu. Nic tu nie pamięta o mnie i nic mnie nie przypomina. Po chodnikach chodzą ludzie, których nie znam, lub może, których kiedyś znałam, wszyscy dużo młodszy lub dużo starsi ode mnie, nikt nie ustąpi mi miejsca w autobusie, w czasie, nikt nie odda mi swojej ważnej funkcji - bycia stąd. Czyli wypełniania swojego czasu wpisanego w miasto, nieciekawe i szare, nie wiem dlaczego w ogóle mi na tym zależy? Moje miasto wypchnęło mnie na zewnątrz, miasto dzieciństwa.

Potem wyrosłam poza miasto, nad miastem i mogę patrzeć na nie z bardzo daleka, przerosłam moje miasto i stało się maleńkie i szare, stało się nieruchomym punktem na mapie wielkości główki od szpilki. Mimo że tęskniłam, będąc tam, depcząc brukowane uliczki francuskiego miasta, za moim miastem. Miało przyjąć mnie na swoje różowe łono, nakarmić mlekiem, obtulić szarymi chmurkami brzydkiej pogody i dać czas. Nie mam go, stoję nad moim rodzinnym miastem przyglądam mu się szklistymi oczami. Bo nie mam go również we Francji, nie wchłonął mnie nigdy Londyn ani Kopenhaga, nie przygarnął Dublin, Barcelona. Nie mam gdzie usiąść i odpocząć. Nie mam czasu, własnego, pełnego bezpiecznych rytuałów, małych drzwiczek z napisem „exit”, które zamykałyby za mną wichurę złych przeczuć i dawały krzesło, stół i zegar na ścianie. Nie mam ciasteczka „zjedz mnie”, które zmniejszyłoby mnie do objętości czasu jakiejś małej nadmorskiej wsi. Ciasteczka, fiolki, drzwiczki, lustreczka i grochy wielkie jak łyżki na mojej białej sukience. Albo przeźroczystej. Nie ma mnie w czasie, nie to, że się zgubiłam, nadal pozornie nad wszystkim panuję, nadal pędzę sobie na zewnątrz lub stoję w ciszy oka huraganu, ale bez funkcji tutaj, ani tam, wszędzie jestem tymczasowa, odchodzę, odlatuję, znikam. Czasem czuję, że i tak nigdzie mnie nie ma, stoję w rozkroku, wysoko nad czasem, za duża żeby mnie wchłonął, za duża, żeby mnie zauważył.

## CZAS PIELGRZYMA

Czas należy do miejsc i do ludzi. Jeśli jesteśmy gdzieś dostatecznie długo, nabieramy czasu, którym rządzi się miejsce. Oswajamy go, nasz czas płynie po tej samej liniowej osi. Ale ponieważ „teraz” istnieje tylko w nas samych, wszędzie indziej - wszędzie gdzie nas nie ma, czas biegnie innymi torami. Biegnie nadal po linii prostej, ale już nie tej samej, zupełnie jakby był równoleżnikiem na fizycznej mapie Świata.

Czas, jaki dzieli dwa odległe miejsca, ma mało wspólnego z czasem wskazówek zegara - obiektywnym, bo taki czas spełnia tylko rolę praktyczną, organizacyjną. Jeden zegarowy mechanizm pozwala nam na „docieranie na czas”, bez niego ludzkość pogubiłaby się, runęłyby wszystkie systemy, gdybyśmy przestali się spotykać. Ale nasza pamięć nie rządzi się tykaniem zegara, tylko sekwencją zdarzeń.

Dlatego na codzień owładnięci jesteśmy godzinami, kwadransami, minutami, rozdzielamy je na pracę, zabawę, odpoczynek, nie interesują nas inne miejsca, nasz czas biegnie prosto przed siebie.

Dopiero, gdy gdzieś wracamy, doświadczamy po raz pierwszy równoległości czasu. Odnajdujemy porzucony niegdyś czas i odkrywamy, że nadal płynie, mimo że nasza pamięć całkowicie go zatrzymała. Taki jest czas naszego dzieciństwa, gdzieś daleko, na południu Polski, czas wakacji na wsi, wszystkich górskich chat i małych miejscowości nad morzem. Wydaje nam się, że od kiedy nas tam nie ma - nic nowego nie mogło się już wydarzyć. Ale czas nadal biegnie, tylko że z inną prędkością, w innym porządku - jego oś nie stanowi już naszej osi. Takie uczucie dają nam krótkie podróże, krótkie pobyty w obcych miejscach, gdzie zostajemy tylko na chwilę by potem ruszyć dalej. Jesteśmy wtedy tylko biernymi obserwatorami lokalnego biegu zdarzeń. Dopasowujemy na moment swój czas do tego zastanego. Inaczej jest, gdy podróżujemy w nowe miejsca by zostać w nich na stałe. Bo aby się zdomowić - zapuścić korzenie, trzeba uchwycić rytm miasta, związać się z nim: obserwować poranki, oswoić ludzi, i dotrzymywać kroku zastanej rzeczywistości, wtulić się ufnie w nową przestrzeń.

Oswajanie się z nowym czasem jest tym trudniejsze, im bardziej różni się on od naszego. A jeśli mamy w sobie tęsknotę, nasza pamięć będzie zawsze goniła zupełnie inną, porzuconą czasoprzestrzeń.

*Dorota Klajn jest ubiegłoroczną stypendystką miasta Częstochowy. Mieszka we Francji. Na Uniwersytecie im. Paula Valéry'ego w Montpellier studiuje literaturę. Częstochowskie wydawnictwo „Bulion” jeszcze w tym roku wyda jej książkę pt. „Pisanki”.*

## Z MAURYCYM PO REGIONIE

## Muzeum w Złotym Potoku

*W internecie można odwiedzić większość światowych zabytków, muzeów i galerii. Obejrzyć od góry, od dołu, wzdłuż, wszcz i na opak. Poznać kontekst kulturowy, przeczytać informacje historyczne, biogramy i legendy. Zobaczyć obrazy, fotografie i wykresy, obejrzeć filmy i posłuchać muzyki. Ale czy komputer potrafi zastąpić bezpośredni kontakt ze sztuką, pozwoli „zanurzyć się w atmosferze”?*

Nasz Przyjaciół, który mieszka w Kanadzie, zadzwonił do Maurycyego z wiadomością, że po latach nieobecności w Polsce przyjeżdża w odwiedziny i prosi, byśmy pomogli mu poznać atrakcje starego kraju. W lot pochwyciliśmy okazję, by zapromować przede wszystkim nasz rodzinny region. Wszak zewsząd słyszymy o potrzebie zatrzymania turystów na dłużej i skierowania ich – gdy już odwiedzą Jasną Górę - ku jurajskim atrakcyjnym. Obejrzelismy liczne informatory i ułożyliśmy atrakcyjną trasę wycieczkową.

O dworku Krasieńskich w Złotym Potoku, pozostającym pod opieką Muzeum Częstochowskiego, piszą we wszystkich przewodnikach; nadto dowiedzieliśmy się z gazety, że wystawa poświęcona hrabiemu Zygmuntovi została właśnie zmodernizowana.

To jest to – pomyśleliśmy. Niech w sercu Naszego Przyjaciół zagrają sentymenty, niechaj po powrocie do Kanady rozpowie wśród swoich znajomych, że warto przyjechać właśnie tutaj.

Dworek Krasieńskich to dość niski dom, pobielony i z kolumnami przy wejściu, niczym w *Panu Tadeuszu*. Dobrze! Mamy cię, zblazowany człowieku Zachodu! Zaraz się wzruszysz patriotycznie, może nawet sypniesz kasą, której tak potrzebujemy na ratowanie narodowego dziedzictwa.

Drzwi są otwarte. Obok nich, na ładnym ganku, dwa fotele w stylu późnego Gierka. Pani cerber siedzi tu sobie z koleżanką i wygrzewają się na słońcu. Jest piękny czerwcowy dzień. Spragnieni kultury i historii, bezlitośnie przerywamy im sjęstę, by wydać po 4 złote i kupić bilety. Niektórzy z nas są wprawdzie Zasłużonymi Działaczami Kultury i przysługuje im zniżka, ale wędrując po kraju wstydzą się z niej korzystać. Kultura jest przecież taka biedna!

Wchodzimy i z zachwytem oglądamy. Najpierw to, co najbardziej rzuca się w oczy. We wszystkich kilku pomieszczeniach największe wrażenie robią – prze-myślnie umieszczone na wysokości wzroku - bardzo dobrze oświetlone i pomalowane na piękny, czerwony

kolor, gaśnice przeciwpożarowe.

Następnie okna. Tych w dworku jest zdecydowanie najwięcej. Za oknami zieleń.

Dalej historyczne wyposażenie. Widzimy meble. Podniszczone, pewnie dlatego nie wolno na nich siadać. Karteczki informują, że meble pochodzą z XX wieku. Bardzo dobrze oznakowane: jeśli stół, to jest napisane: “stół”. Jeśli coś stoi w rogu, odsunięte od ściany, to nosi oznakowanie: “konsolka przyścienna”.

Szafki i gablotki, w nich m.in. bardzo duża filiżanka i mały porcelanowy ptaszek. Przykład dużej staranności strażników narodowego dziedzictwa. Ptaszekowi odpadł ogonek, ale nie zgubi się, bo też leży za szkłem.

Kilka eksponatów o niejasnym przeznaczeniu - informacyjne kartki ktoś ponadrywał, chyba dość dawno. Chcemy zapytać panią cerber, ale rezygnujemy, by nie przerywać jej dalszego ciągu codziennych plotek ze znajomą. Informacja jest podstawą wiedzy o świecie. Zmuszeni jesteśmy radzić sobie sami. Podejmujemy zbiorowy wysiłek, wysilamy inteligencję i coś odgadujemy - to zegar. Stojący. Ponadto, jak to we dworku, tu i ówdzie wisi broń. Oraz karteczka, że resztę wypożyczono na inną wystawę.

Jeszcze dzieła sztuki malarskiej. Ciemne obrazy, zwykle podpisane: artysta nieznan. Nasz Przyjaciół przygląda się i wreszcie powiada, że też by wołał być nieznanym, gdyby wytwarzał takie arcydzieła.

I już jesteśmy znowu w sieni. Tu na dłużej skrzyni spostrzegamy “odlew dłoni Elżbiety Krasieńskiej”. Szukamy informacji, co to za jedna ta Elżbieta, i w jakich okolicznościach straciła rękę. Nie ma. Powyżej skrzyni widnieje wypchana głowa dzika. Zapewne to on jest winowajcą, ale tego nie rozstrzygamy, bo pani cerber czeka, żebyśmy już sobie poszli.

Szukamy bliższych informacji o miejscu, w jakim się znajdujemy. Co to był za facet, który tu mieszkał? Nie ma. Po co tu mieszkał? Nie ma. Czym się zajmował? Nie ma. Co się z nim stało? Nie ma. Z jakich powodów uczyniono tu muzeum? Nie ma. Czy jest powód, żeby odwiedzać to miejsce? Nie ma.

W drodze powrotnej, gdy jedziemy przez senny i zaśmiecony Janów (trwają właśnie Dni Janowa, które na szczęście zlekceważyliśmy), nadrabiamy miną. Wyjaśniamy, że na Jurze mamy jeszcze wiele innych ciekawych miejsc. Nasz Przyjaciół jest bardzo wyrozumiały. Nie zamierza wyciągać przykrych konsekwencji.

- Nie ma sprawy – mówi. – Bilet kosztował mnie tylko jednego dolara. U nas też za jednego dolara cudów nie zobaczysz.

Nieśmiało prosimy, żeby w swoim mieście za oceanem nie opowiadał zbyt wiele o naszych jurajskich atrakcjach.

- W porządku – uspokaja. - W Europie są jeszcze Luwr, Watykan i Muzeum Brytyjskie. Europa jest teraz wspólna, więc jako Europejczycy nie macie się czego wstydzić.

*Marian P. Rawinis*

## Mistrzowie z Częstochowy

## Chłopak ze Stradomia

**Wiceprezes nowojorskiego "Nowego Dziennika". Mecenas i animator kultury polskiej. Przedsiębiorca. Sędzia sportowy. Działacz społeczny. W przeszłości król parasoli i bombek choinkowych. Człowiek – orkiestra.**

Romuald Dymski, rocznik 1930, rodowity częstochowianin, chłopak ze Stradomia, z Kościelnej ulicy, były u salezjanów ministrant. Moja ławka w "Trauguciaku" to był Darek Wieczorek, Adaś Smerczyński, Janek Tarlikowski i Jarek Świąć. Z tym, że oni tu robili maturę, a ja na maturę wyskoczyłem do Bielska, bo to Stradom, rodzina włókiennicza..

Podczas okupacji robiłem "Traugutta", później go skończyłem. W naszej ławce jeszcze był Adolf Baranowski, późniejszy inspektor pożarniczy w Częstochowie. Z tego rocznika w "Sienkiewicz" najdalej zaawansował częstochowianin, Tadek Wrzaszczyk, wicepremier. Ale nie poznawał mnie, jak przyjechał do Nowego Jorku, dopiero później. On, jak był z nami, mówił po cichu. *Tadek, mówię, tu nie ma aparatów podsłuchowych!* Ale u niego to była siła przyzwyczajenia.

Pojechałem do liceum do Bielska-Białej kontynuować rodzinne tradycje. Wujek mój był majster tkacki i znany piłkarz. W Liceum Włókienniczym byłem uczniem bardzo wzorowym a dzięki koneksjom piłkarskim miałem możliwość na wyższą uczelnię bez egzaminu zdawać. Na prawo do Łodzi przysnąłem. Pamiętam, Kotarbiński był wtedy rektorem. Taki byłem już przygotowany na to prawo, a tu mama przyjeżdża: *Synu! Gdzie ty idziesz, bandytcę będziesz bronił?* i tak dalej. Otwierali Wydział Włókienniczy na Politechnice Częstochowskiej, ale poszedłem do Łodzi, bo się dowiedziałem, że tu nie było włókiennictwa sztucznego. Polecałem do Łodzi, skończyłem Politechnikę, skończyłem Wyższą Szkołę Ekonomiczną. Nakaz pracy... no, gdzie? Żagań. Rany boskie! Znajomości, nie znajomości, przyjechałem z nakazem pracy do Częstochowy, do "Stradomia". To był pięćdziesiąty szósty rok. Tu trzeba było kontynuować hobby sportowe. Z polityki się wyleczyłem dawno, w czterdziestym ósmym.

Był klub "Skra", jeszcze sprzed wojny. Myśmy taką dobrą paczką tutaj byli, że byliśmy u szczytu wejścia do II ligi, zaspokoilibyśmy ambicje częstochowskich kibiców. I furorę zrobiłem, będąc w Stradomiu. Na Śląsku już były popularne zawody piłki nożnej kobiet. Ale znajdź tu jedenastkę kobiet. No, to żeśmy poszli na te tkaczki. Pamiętam, po pięćset złotych wtedy każda dostała, żeby tylko wyszły na boisko. Rany boskie, ile ludzi było! Mecz na boisku "Skry", całe trybuny zabite! Sensacja niebotyczna! I była taka ciekawa babka, do której ja chodziłem, i pan pułkownik Hudzisz podrywał. Ja jestem talent antywojskowy, nic, tylko do wojska mnie włądować. I musiałem uciekać.

Uciekłem do Wrocławia. Byłem już sędzią ligowym. Do jakiego klubu iść? Jakby do wojskowego - do wojska nie

wezmą. Przeuroczy człowiek, Tadeusz Pawlikowski, kierownik sekcji i ja to żeśmy "Śląsk" wprowadzili do pierwszej ligi. We Wrocławiu byłem szefem wydziału sędziowskiego PZPN. Poznałem Enzo Magnozzi, słynnego menadżera, który otworzył pierwszą furtkę dla "Gómika" Zabrze, dla "Polonii" Bytom.

We Wrocławiu poznałem ciekawą babkę. Pierwszy wyjazd na Olimpiadę w sześćdziesiątym roku. To był mój pierwszy kontakt z zagranicą, Adama Smerczyńskiego spotkałem i zrobiłem pierwsze ciekawe pieniądze. Dostałem kontakt na modne płaszcze ortalionowe na podpince. Miałem list polecający od takiego Żyda z Wrocławia, on te płaszcze hurtowo sprzedawał po dziesięć dolarów, a ja otrzymałem po sześć, sprzedawałem wszystkim po dziewięć. Dolar wtedy kosztował sto dwadzieścia złotych na rynku wymiany. Przywiozłem cztery tysiące dolarów zarobionych.

Na nakazie pracy byłem sześć miesięcy, otworzyłem warsztat - tworzywa sztuczne. Wtedy były bardzo modne takie serwetki igelitowe, a później parasolki robiłem. W Częstochowie robiliśmy do nich stelaże, wszystko, żeby się uniezależnić. Zostałem królem parasoli.

W sześćdziesiątym ósmym roku poznałem koszykarkę. Reprezentacja Polski, "Kolejarz", panięskie nazwisko Zon. Ona miała ojczyma Żyda na żydowskich papierach. To w ogóle ciekawostka, jak oni są zorganizowani. W Wiedniu była, a tam jeżeli wyjedziesz do Izraela, to już lepiej będziesz traktowana. Przyjechała, to już mieszkanie na nią czekało. Z tym, że jak im spłaciłeś 75%, to otrzymałeś całkowitą bonifikatę pozostałości. A nasi niestety, z komitetu imigracyjnego, w tym okresie brali pieniądze i nie było Polaka, żeby zwrócił. Jedyna babka, która zwróciła, to Piasecka - Johnson. Jak za Johnsona wyszła za mąż, to naprawdę dobrze wsparła Komitet Imigracyjny.

Wyjechałem w sześćdziesiątym dziewiątym roku na zaproszenie swojej obecnej żony, nie jako Żyd, tylko na zaproszenie. Svieta wyjechała w 68 do Wiednia, a z Wiednia do Włoch. Jak był mecz Polska - Włochy, wtedy można było wyjeżdżać, żeby zobaczyć jakiś mecz, to wyjechałem i spotkałem się ze Svetką we Włoszech. Wtedy żeśmy ustalili taktykę. Otrzymałem zaproszenie. Kłopoty były z paszportem, bo na Europę to jeszcze można było otrzymać paszport, a wizę do Stanów było trudno dostać. Był fantastyczny chłopak w Warszawie, Stanisław Eksztajn, wiceprezes PZPN i przewodniczący działu sędziowskiego. On był w Miejskim Stołecznym Komitecie Kultury Fizycznej. Staszek mi paszport załatwił, a we Wrocławiu nie szło załatwić, mimo, że miałem chody. Trzeba się było odwoływać do Warszawy. *Tutaj byłem, mówię, u was, towarzysze, i cożeście, towarzysze, powiedzieli, że w d... was mogę pocałować, a paszportu jako prywatna inicjatywa nie dostanę!*

Wyjechałem oficjalnie na sześć miesięcy. Dzisiaj są takie sprawy, że aresztują zaraz Polaka czy coś. Ten dupek z immigration, który tam stoi i ma możliwość pieczątki wbić, albo cię puszcza, albo cię nie puszcza. Tam bardzo szybko te służby pracują i bardzo sprawnie. Dostałem wizę na sześć

miesiący i przed upływem sześciu miesięcy wstąpiłem w związek małżeński.

Płynąłem "Batorym", to był jeden z ostatnich rejsów. Przypłynąłem do Stanów Zjednoczonych. Magister inżynier, ale angielskiego nic. Tabula rasa. Przywoziłem trochę zielonych, ale trzeba coś robić. Można robić parasolki, na parasolkach był zysk niebotyczny, na tych składanych szczególnie. Ale przez miesiąc objąłem się, chodziłem, muzea zwiedzałem i tak dalej. Svetka mnie przywitała na lotnisku. Deszcz zaczął padać, i jak grzyby po deszczu wyskoczyło pełno Chińczyków z bram i parasole sprzedają. Ile parasol? Dolar. Sprzedawałem w kraju za trzysta pięćdziesiąt złotych parasolkę składaną, a dolar kosztował sto dwadzieścia. To jest trzy dolary, a tam gotowa parasolka za dolara! W tym okresie monopol handlu zagranicznego był w ręku państwa. Przewieźć nie można było. Wysyłało by się kontener parasoli i byłbyś bohaterem. W hurcie nie może kosztować więcej - i nie kosztowała - jak pół dolara. No to mówię: z parasolkami, Dymski, spalone. Co dalej? Tworzywa sztuczne, to już robiłem, trzeba dać jakieś tam ogłoszenie. Miałem wtryskarke, która robiła osiemset gram wtrysku, w tych czasach to było dużo. Naraz stanąłem przed maszyną jednopiętrową, gdzie wsad wtrysku był z piętnaście kilogramów. Nie, to też tutaj nie otworzę... A jeszcze cena za tę wtryskarke, dwa miliony czy coś, zawrotna kwota.

Jest taki klub polonijny w Nowym Jorku, wybraliśmy się i było zebranie powstańców Warszawy. To była jakaś rocznica. Każde zebranie polonijne musi się odbyć z inwokacją księdza. No więc ksiądz pobłogosławił i tak dalej... Skarbnik zdał sprawozdanie - mieli osiemdziesiąt dwa dolary na koncie, ja byłem bogatszy, bo miałem stówę w kieszeni. Zebranie, później zabawa oficerska, pierwsze pół litra na stół no i: pluton na konia siad! Tam był porucznik, kapitan, awanse oficerskie - dotarłem do pułkownika Sala jest klimatyzowana, godzina jedenasta, wyszedłem, duszno jak cholera, i z miejsca mnie złamało. Kolega musiał mnie zebrać, zawieźć do domu. No i tam pytam, czy ma jakąś pracę. Jednego znam, mówi, pracuje w branży jubilerskiej. Dobrze to brzmi.

Zakład polonijny w Manhattanie, duży piętnaście osób pracuje, ręcznie wszystko wykonywane. On mnie pyta: co pan robi? Mówię: przy parasolkach robiłem. A on fachowiec w branży jubilerskiej. *Zamykam oczy*, mówi, *do jednej ręki dają mi platynę, do drugiej złota, a ja mówię, w którym ręku mam platynę*. Ciężar właściwy trzeba znać, małpa by to powiedziała, ale milczę.

Jak zobaczyłem tę jubilerkę, to się złapałem za głowę: bardzo łatwa rzecz. Najpierw wtrysk z wosku, potem wtryskujesz złoto na wtryskarce ręcznej lub automatycznej, później się obrabia. Ja pieniędzy nie mam tutaj, zacząłem budowę domu we Wrocławiu. To piszę: sprzedaj, wszystko, bo potrzebuję gotówki. Łatwo mówić sprzedaj, trzeba zorganizować jakiś przerzut. Ale przez salezjanów załatwiłem troszeczkę, dostałem pożyczkę, dwa tysiące,

poszedłem do wrocławskich Żydów. Oni są bardzo zorganizowani, mają swoje kółka. Takie kółko Żydów częstochowskich jest też w Nowym Jorku. Jeden tam gdzieś zamiata, drugi w pralni pracuje, mówię: otwieramy wytwórnię jubilerską. *Co ty?* Musiałem im przynieść wosk. *-To takie łatwe?* Ja mówię: takie łatwe, otwieramy.

Otworzyliśmy w trójkę. Za dwa tysiące wejście było. Śmiesznie to wyglądało, po angielsku żaden z nas nic. Ale idziesz do hurtowni, jak masz już numer rejestracyjny - bo tam nie ma papierów, wykupujesz tylko kartę rejestracyjną na działalność, to jest wolny rynek. Jak potrafisz robić, to umiesz. Jak nie, to cię życie wyeliminuje. Jeden z salezjanów zaczął chodzić z wtryskami. Nie braliśmy przez trzy miesiące pieniędzy, wszystko dawaliśmy, żeby budować zakład. Investment to się nazywa. Przychodził taki gość, chyba w czwartym miesiącu, z tych, którzy dostarczają gips na wlewki. Zaopatrzenie. Jak zobaczyli, że tu jakiś cwaniak z Polski przyjechał, otworzył, zna się - zadeklarował mnie do innej dużej firmy. Potrafiłem gumę ciąć. To jest nic innego jak forma w odlewnictwie. Wtryskujesz wosk, później obrabiasz. Z miejsca dostałem pięćset dolarów na tydzień. Pięćset dolarów to była kupa pieniędzy, bo minimum rate było dolar osiemdziesiąt, a tu był w granicach ośmiu dolarów zarobek. Pytają, czy ja potrafię zorganizować. Pokazali mi - zakład jest na chodzie całkowicie, tylko mieli woskarki - po sześć dolarów na godzinę. Polek nabrałem, która miała tylko manualne zdolności - dobra, siadaj, dolar osiemdziesiąt na start. I Chinki - to jest naród o niebotycznych manualnych zdolnościach. Jeżeli woskarka, Murzynka, która pracowała ponad dziesięć lat, robiła dwieście wosków w określonej jednostce czasowej, za sześć godzin, to ta potrafiła zrobić osiemset przy starcie. Oni zobaczyli, że im zrobiłem duże oszczędności i zrobili mnie generalnym menadżerem, z bardzo słabym językiem angielskim. Polski Fiat był w PKO za 1500 dolarów - za trzy tygodnie miałem Fiata, mogłem wysłać do Polski. Ale po dwóch latach, jak Nixon podniósł złoto, jubilerskie zakłady padały.

Rzuciłem to. Otworzyłem firmę eksportowo-importową "Concord". Znałem Enzo Magnozziego. To był menadżer słynny, który wprowadzał "Ruch" Chorzów, "Polonię" Bytom. W trzecim tygodniu - *Mr.Dymski, Mr.Dymski! Nice to see you* - cieszy się, że mnie widzi tutaj. Do sędziów mnie skontaktował. Zaraz w trzecim tygodniu dawali pięćdziesiąt dolarów za sędziowanie. Generalnie to jest poziom naszej A klasy. Furorę zrobił dopiero "Cosmos" jak powstawał. Pele został do "Cosmosu" ściągnięty za milion dolarów. To był pierwszy duży krok w rozwoju zawodowej piłki nożnej. A ci wszyscy zawodnicy, którzy przyjeżdżali - Ernest Pol w "Polonii" Greenpoint grał - to było warte śmiechu, ale gwizdałem to. Miałem nazwę "sędzia quiet or out" czyli "zamknij pysk albo spieprzaj z boiska".

Później, jak był "Cosmos", moje rekordowe spotkanie w życiu było z Pelem na Yankee Stadion. Sędziowałem to spotkanie. To był koniec lat siedemdziesiątych, jak "Cosmos" powstawał. Wtedy bramkarzem był Kornek

z "Odry" opolskiej, Kajtek Zajdel z "Górnika" Wałbrzych w "Cosmosie" pierwsze kroki stawiał. On był łysy. Żeby być młodszym, miał perukę. Była taka słynna bramka: jego wysok, peruka w jeden róg, piłka w drugi, to było zdjęcie sezonu piłkarskiego. "Cosmos" zrobił wtedy furorę biorąc Pelego. Pamiętam, moja pierwsza delegacja: elegancko odpieprzyłem się, koszulka, znaczek - mi tylko dali. Zajeżdżam, a tam dwanaście boisk piłkarskich, działaczy więcej jak piłkarzy.

Szczytowy mecz, który prowadziłem to był ten Santos – FC Roma. To był mecz, który mi dał dużo do myślenia. Był ex-zawodnik "Victorii", Baran, który zmienił nazwisko na Barański. Pamiętam mecz "Polonia" Bytom - "Ruch" Chorzów. Sędziowałem i zszedłem z boiska, a Baran: Ty parasolu! Skąd on wie, że ja parasolki robię!?

Otwarliśmy tę firmę eksportowo-importową. To były niebotyczne ilości paczek, to była konkurencja. Pojechaliśmy na wycieczkę do Brazylii z turystycznych biur podróży i w Manaus wychodzimy - była tam strefa beczłowa. Podchodzę do sklepu, patrzę, okularów nie miałem, jest kawa. Inni nie widzieli, co Dymski kupuje. Popatrzyłem, czy na opakowaniu jest teleks i telefon. Zapakowałem, zadowolony. Miałem dane, że tu tak zawsze kosztowała ta kawa, to liczę że na paczce zarabiam dwadzieścia dolców. Przyjeżdżam. Na lotnisku jesteście, żona syna kupuje kawę w próżniowym opakowaniu i zapłaciła za paczkę dwadzieścia dolarów! A ja wiem, co kupiłem, wiem, ile płaciłem. Przyjeżdżam do domu, pierwsza rzecz odpakować, dzwonić i robimy biznes. K...a! To czarna fasola podobna do kawy.. O, jak pierdykłem!

W mojej firmie wysyłałem kawę, wędliny, w Hamburgu filię mieliśmy. To były paczki do indywidualnego odbiorcy w Polsce, pod wskazany adres. Ktoś zlecał z rodziny, żeby dostarczyć. Paczka była trzykilogramowa, za pięć dolarów. To nie było wtedy jeszcze skomputeryzowane, trzeba było napisać odbiorcę, nadawcę, co paczka zawiera - babkom palce puchły. Zamykały się na noc, żeby wypisywać, bo nie można było nadążyć.

Wtedy była też bardzo inna modna praca w Nowym Jorku, zdejmowanie azbestów. Szkodliwości chemiczne, Amerykanin nie pójdzie pracować, ani za taką płacę - brali coś piętnaście dolarów na godzinę. Taki azbeściarz, córka mu wychodziła za męża, a biedak nie mógł jechać. No to wysłał ponad trzysta kilogramów owoców, i pięćset owoców kiwi. Kiwi nie przyjęli. Dlaczego? Owoce przyszedł niedojrzały, zielony. Autentyczne. Nie znali tego kiwi wcale. Pomarańcze, banany, grejfruty się wysyłało. Jak przyszedł Balcerowicz, to padło całkowicie. Są dolary w Polsce, i wszystko jest w Polsce.

Jak wyjechałem w 69, w Stanach minimum zarobków było dolar osiemdziesiąt na godzinę, a dzisiaj już jest siedem dwadzieścia albo sześć osiemdziesiąt. Krzywa wzrasta.

Zaczął się szukanie prasy polskiej, czy jest jakaś prasa polska. *Nowy Świat* była to gazeta przypominająca

formatami największe wydanie, jakie mogło być w Polsce. Duże, ale nie było co czytać - rany boskie, ubóstwo. To wydawał doktor... ooo! Geriavit! Uciekło mi nazwisko! Drukarnię założyli u mnie. Położyli ten *Nowy Świat*. Wtedy Bolek Wierzbiański, którego nie znałem, organizował pieniądze, żeby założyć *Nowy Dziennik*. Pierwszy numer się ukazał 35 lat temu. Jak patrzemy dzisiaj, to też było ubóstwo, no ale przyczyniłem się do tego już po pierwszych wydaniach tej gazety. Maszyn nie było, ołów się robiło ręcznie, w korekcie, a dzisiaj mamy w sumie sto pięćdziesiąt osób, całe wydawnictwo. To jest International Committee of Journalists, inkorporacja, która wydaje *Nowy Dziennik*. Dwanaście, może nawet więcej wydaliśmy książek. Furorę byśmy zrobili z książką o Miłoszu, przed Noblem. Nasza dziennikarka Renata Czarnocka robi z nim wywiad. No, i zakochała się w Miłoszu. Gdyby ta książka wyszła w tym terminie, to byłyby kokosy, ale ukazała się dopiero jak on noblistą został to już nie było ciekawe. Nasze niedzielne wydanie ma nieraz 88 stron, Luiza Karkoszka robi dodatek społeczno-literacki, bardzo ciepło oceniony przez ś.p. Giedroycia, a w sobotę jest *Weekend*, który Jan Latys robi.

Jestem ten, który finansował, w czasie przeszłym. Mam swoje akcje, a redakcja działa własnym życiem, my się spotykamy co jakiś czas. Z *Nowym Dziennikiem* związany jestem 33 lata, czyli faktycznie od samego początku. Byłem założycielem działu sportu i krzyżówki, redagowałem sport, ale piłka nożna była tam wtedy w powiśkach. Ze "Śląska" Wrocław Musialika ściągnąłem, później był w „Cracovii”, Stachurę ściągnęliśmy, Ernest Pol był, Kornek z "Odry" Opole. Jest "Polonia" Greenpoint. Janusz przyjechał, dostał pracę w Polonii, a za grę dwadzieścia dolarów - to była wtedy kupa pieniędzy. Co tu dużo mówić, przyjeżdżałem przed stanem wojennym, tak-sówkę brałem w Warszawie z dworca głównego, za dwadzieścia dolarów wiozł mnie do Częstochowy. I było uściśnięcie ręki. *Dziękuję panu, a gdzie jest dworzec? -A po co panu dworzec? Niech się pan postara, jak-by ktoś jechał do Warszawy, to ja go wezmę i pod wskazany adres zawiozę za cenę biletu kolejowego.*

Był u nas mecenas sztuki, pan Jordanowski, współzałożyciel i były prezes Instytutu Piłsudskiego. Ja z nim się przyjaźniłem, miał bardzo ładne zbiory. Mówi: *Będzie w operze występował Wiesław Ochman*. To były lata siedemdziesiąte chyba, zaprzyjaźniliśmy się. Od ośmiu lat naprawdę z wielkim zainteresowaniem się do tego przyłożyłem. Raz w roku Wiesiek tutaj bierze obrazy. Jemu artyści dają te obrazy. Kto tam kiedyś słyszał, że Beksiński taką będzie miał pozycję, kto słyszał, że Jurek Graczą taką będzie miał pozycję, jak dzisiaj? Sętowski, sprzedaje za dwanaście tysięcy, idą na Soho jego obrazy, a tu otrzymuje nie więcej jak dwa tysiące pięćset. I tak na aukcji on mu daje rysunek. Wiesio nie wziął -*Dziękuję, nie biorę. Myśmy pana po prostu wypromowali na rynku amerykańskim to ja chcę reprezentować pana z właściwym*



*poziomem*. Lonty z Częstochowy, Kweclich. Kweclich jest uczniem Szancenbacha - to jest jakaś już pozycja. Nie ma środowiska, którego bym nie spenetrował.

Pierwszym, co nas zdopingowało był konsul Lipka. Jeszcze był PRL. Generalny konsul w Nowym Jorku, który w ramach różnych transformacji pojechał do Wilna. Telefon mam gdzieś w nocy: *Aldek, może byście jakoś wsparli, jak robicie te akcje i fundusze? Pieniędzy potrzebuje wileńskie Muzeum Adama Mickiewicza*. Muzeum zostało przez nas w stu procentach sfinansowane, ponad sześćdziesiąt tysięcy dolarów do nich poszło. Pamiętam, jak była inauguracja: osobistości życia kulturalnego, a pierwsze trzy pokoje, gdzie Filomaci się zbierali, to zajmował cieć. I on do Ochmana: - *Panie śpiewok! Panie śpiewok! Kupcie wy ode mnie te trzy pokoje, dajcie mi inne pokoje, ja to rzucę. Był taki święty spokój, nikogo tu nie było, a teraz tylko pytają o jakiegoś Mickiewicza i chcą żeby otwierać bez przerwy*. Jak się wchodzi, tam jest tabliczka, komu to dziękują, jest tam moje nazwisko, Lipki i jeszcze Bolka Wierzbiańskiego.

Inni chcą naśladować Nowy Dziennik. Kiedyś Nowy Dziennik był potentatem, byliśmy jedyną gazetą. Dzisiaj mamy też Super Ekspres, kopię Polityki, tylko dorabiają na miejscu miejscowe wiadomości, mamy Kurier Plus, i wszystkie gazety i tygodniki kolorowe z Polski. Niezależnie od nas mamy dystrybucję, to dystrybuujemy włącznie z Urbanem, który był sprzedawany na Greenpoincie pod ładą, bo księża gonili. Dzisiaj Urban jest poszukiwany, leży na wierzchu - czasy się zmieniają. Tych tygodników kolorowych jest bardzo dużo, chyba ponad pięćdziesiąt, a wszystkie mamy, plus Gazeta Wyborcza, wydanie niedzielne, które przychodzi.

„Nasza Częstochowa” jest nam potrzebna. Do czego? Obrazy, które Wiesiek Ochman zbiera – mieszkanie jest zawalone u Wieska, Kryśka tam bombarduje: Weźcie to w cholere! – „Nasza Częstochowa” pakuje, ładuje do kontenera.... Jest już ósma aukcja, zawsze robiona w marcu, raz w roku.

Jeżeli chodzi o aukcje, które były w Domu Pracy Twórczej koło Lublina - plenery malarskie się tam odbywają. Ostatnia aukcja przyniosła 91.917 dolarów brutto. Koszty były bardzo małe, między innymi stowarzyszenie „Nasza Częstochowa” 21 tysięcy dostało... Zastrzeżliśmy sobie, że z tych 21 tysięcy Kweclich ma dostać trzy tysiące dolarów. I dostał na wydział na WSP. Jest Ośrodek Pomocy Kultury w Zawierciu, 1000 dolarów, Stowarzyszenie „Razem” na Jasnogórskiej jest, dostało 1000 dolarów. Opera Bytomska 16000. Muzeum Adama Mickiewicza dostało 1500. Daliśmy na pięć hospicjów, hospicja dostały po cztery tysiące, jedno dostało siedem tysięcy, a szesnaście tysięcy siedemset dwanaście zostało przekazane na Operę Bytomską. Nie mam zastrzeżeń, Wiesiek tam grał, pierwsze kroki stawiał.

Były koncert Ochmana. Ponadto jest nasza fundacja dziennikarska, Jurek Bekker z TVN. Redliński to nasz stypendysta. Jedyń, który dostał stypendium od nas, znaczy pożyczkę, i zwrócił nam pieniądze, a z pozostałych nikt nie zwraca. Adolf Surdykowski miał, później miał duże stypendium...ten...no, co Wałęsie pierwsze przemówienie do Kongresu pisał... Jacek Kalabiński świętej pamięci. Jerzy Duda-Gracz, co go nie chcieli w „Zachęcie”, w Stanach Zjedno-

zonych furorę zrobił. U nas było trzydzieści pięć jego obrazów, pamiętam jak dziś. Przyjechał, zrobiliśmy eleganckie przyjęcie, a jeszcze chory był, jak leciał samolotem.

Konsulat mamy w centrum, to jest Madison. W środku jest coś niebotycznego. Obsługa, ludzie - na piątkę. To jest nasza wizytówka, Polskę to kosztowało milion dwieście tysięcy w latach siedemdziesiątych, a dzisiaj mają ofertę na siedemdziesiąt milionów. Teraz zrobiłbym najlepszy interes.

*Spisał Jakub M. Rawinis*

*Spółeczeństwu potrzeba dziesięciu tysięcy inteligentnych, czujnych, bystrych, wrażliwych i zorientowanych jednostek, które się wzajemnie podniecają, rozbudzają, dynamizują i są ośrodkami fermentu kulturalnego. Misja ich nie spełnia się na papierze, ale w życiu i nie kształtują oni rzeczywistości za pomocą swych niezbyt udanych utworów, lecz w bezpośrednim, osobistym oddziaływaniu.*

Witold Gombrowicz

## LISTY DO REDAKCJI

**Jest utrwalonym zwyczajem wszystkich redakcji, że wcale lub bardzo rzadko publikują listy niepodpisane. Odstępujemy tu od tego zwyczaju, ponieważ po pierwsze - Czytelnicy bardzo łatwo mogą odszyfrować autora anonimu, a po wtóre, by przekonać, że nasze łamy są otwarte dla dyskusji i wymiany poglądów.**

Szanowna Redakcjo,

Zamieszczony w ostatnim numerze "Alej 3" fragment artykułu pana W.M. Gaińskiego pt.: „Już nie jest źle” wzbudził mój zdecydowany sprzeciw. Autor wspominał o „wątlwym getcie naszych lokalnych wierszorobów zwłaszcza młodych”, po czym dodał: „Duży bowiem niesmak budzi fakt, iż nasi młodzi poeci tuż po wygraniu (albo i nie) powiedzmy dwóch lokalnych turniejów poetyckich i skromnej publikacji swych pierwocin w jakimś lokalnym piśmie - już ustawiają się w kolejce do Wydziału Kultury po dotację. I co najgorsze, dostają ją i wydają stosy nie poruszającej nikogo (prócz autorów i ich najbliższych) makulatury.”

W mojej ocenie fragment ten powinien pozostać bez jakiegokolwiek reakcji ze strony czytelników, a decyduje się na nią wyłącznie z sentymentu do Państwa kwartalnika. Nazywanie kogokolwiek „wierszorobami” jest dużo poniżej poziomu czasopisma. Znajdujący się na pierwszej stronie zwrot „poglądy autorów nie zawsze odzwierciedlają poglądy redakcji” nie jest żadnym usprawiedliwieniem dla rażącego naruszenia etyki dziennikarskiej, jakim jest publikacja wspomnianego fragmentu tekstu „Już nie jest źle”.

Przed kilkoma laty, po uprzednim wygraniu dwóch edycji Turnieju Jednego Wiersza organizowanego przez OPK „Gaude Mater” (w jednej z nich w jury zasiadał pan W. M. G.) i publikacji utworów w „Alejach 3” (a propos „lokalnych pisemek” - cyt. artykułu), złożyłem wniosek o przyznanie dotacji na wydanie debiutanckiego tomiku poezji. Tak więc nie jestem pewien czy, będąc osobą młodą, mam czuć się adresatem rzucanych do ogółu frustracji pana Gaińskiego (nawiasem mówiąc sprecyzowanie o kogo dokładnie chodziło w artykule wymagałoby odpowiedzialności za tekst, której jego Autorowi najwyraźniej zabrakło). Na temat moich własnych poetyckich próbek było jak dotąd prawie tyle samo negatywnych, co pozytywnych komentarzy, więc kolejny nie jest dla mnie sądem ostatecznym. Tym niemniej chciałbym stanąć po stronie twórców młodszych i bardziej wrażliwych ode mnie, którym stwierdzenia zbliżone do zawartych w omawianym artykule mogą podciąć skrzydła. Konstruktwna krytyka jest sztuką i właśnie dlatego w owym tekście nie sposób doszukać się artystmu.

To smutne, że Autor dostrzega jedynie „wątle getto lokalnych wierszorobów”, ale przecież nie może być inaczej, gdyż wielu obiecujących twórców z pewnością stroni od osób z podobnym podejściem, pozostając w podziemiu. Nie twierdzę, że wszystkie dotowane publikacje reprezentują najwyższy warsztat poetycki, ale ich wydanie jest warunkiem koniecznym, aby młodzi poeci w przyszłości mogli pisać lepiej. Pan Gaiński zachowuje się natomiast, jakby dotacje pochodziły od niego samego, a krytykując podział funduszy, wątpi tym samym w kompetencje osób, które nimi zarządzają (być może swych kolegów-literatów). Wreszcie określenie „nie poruszająca nikogo makulatura” jest nielogiczne, gdyż Autor nie jest w stanie przewidzieć reakcji wszystkich odbiorców, ani odgadnąć ich liczby.

Opisany przeze mnie artykuł był recenzją nowego tomiku pani W. Grzegorzewskiej. Pan W. M.G. uznał możliwość postawienia na półce owej publikacji obok jego własnej książki za przywilej dla poetki. Uczynił to, jak stwierdził: „bez fałszywej skromności”. Problem w tym, że nie tylko bez fałszywej, ale bez jakiegokolwiek...

W zeszłym roku drugi raz z rzędu miałem przyjemność uczestniczyć w Wigili Czeszochowskich Środowisk Artystycznych. Życzę wszystkim ludziom kultury, żeby panująca podczas tej uroczystości atmosfera tolerancji i empatii zagościła wśród nas na co dzień, a nie tylko od

Czytelnik r2s@o2.pl

święta.

## Od Autora:

Drogi „Czytelniku”. Zarzuca mi Pan rażące naruszenie etyki dziennikarskiej itp. Literaturą i dziennikarstwem param się lat już kilkadziesiąt, zatem na podobny przejaw frustracji niezdolnego autora mogę zareagować zdrowym śmiechem lub kreśląc małe kółeczka na czole. Pańskim zdaniem bowiem krytyka konstruktywna to tylko taka, która chwali autorów, zwłaszcza młodych. Zatem cóż Pan powie na temat twórczości takich krytyków – niewątpliwie konstruktywnych – jak Karol Irzykowski, Artur Sandauer, Ludwik Flaszen, Jan Błoński, Maria Janion czy Tomasz Burek? I jak ma pisać krytyk o armii grafomanów, miernot, tzw. poetów niedzielnych, wierszorobów właśnie? Głaskać i szukać na siłę wartości pozytywnych, których tam w ogóle nie ma? Jest to równie możliwe, jak sadzenie drzew cynamonowych w trzech częstochowskich alejach.

Pańskie dalsze wynurzenia sprawiają, iż mam wrażenie, że znam autora listu. Zapewne jest Pan człowiekiem na tyle inteligentnym, aby zrozumieć, że to i jego zaliczyłem do grona wierszorobów i osób wyludających

nienależne im dotacje. I całkiem słusznie. To, że ktoś wygrał raz czy dwa lokalny turniej poetycki, jeszcze nic nie znaczy. Być może bowiem, że pozostali uczestnicy byli po prostu słabi (a to wątpliwa satysfakcja z wygranej), być może jury dało młodemu autorowi duży kredyt zaufania stosując taryfę ulgową, której już nie stosuje się wobec autora samodzielnego zbioru, nawet debiutanckiego. Młody autor, nim wyda debiutancki tomik, musi “zapracować” na nazwisko zmagając się z materia słowa, “przetrzeć się” w prasie literackiej, dostać laury w jakimś poważnym konkursie (nie turnieju) poetyckim. Tak właśnie uczyniła p. W. Grzegorzewska (ach, ta Pańska źle skrywana zazdrość!) i kilku Pańskich zdolniejszych kolegów.

Pieniądze, przeznaczone na dotacje pochodzą także z mojej, tj. podatnika, kieszeni. Mam więc prawo nie życzyć sobie, aby z mojej kieszeni dofinansowywano nieopierzonych i mało zdolnych wierszokletów.

Co do skromności.... Niech to ocenią inni czytelnicy, kto z nas jest mniej skromnym. Czy znany w końcu autor, członek SPP, obecny choćby w “Słowniku biograficznym pisarzy polskich” P. Kuncewicza i podręczniku akademickim, czy raczej młody autor kilku wątych wierszyków, które zapomina się zaraz po przeczytaniu? Zaś to, czyją książkę postawię na półce obok moich, jest tylko moją sprawą i “Czytelnikowi” guzik do tego. Jego zbiorek na pewno tam nie stanie.

**Waldemar M. Gaiński**

## Wokół patio Galerii Miejskiej

*Podoba mi się projekt Piotra Głowackiego, nakreślony w piśmie Aleje 3 (Stoliczku...). Wybudowanie Centrum Kultury Wizualnej w Częstochowie nadałoby miastu zacny wyraz. Wiadomo, że byłoby to miejsce czyste, przeznaczone jedynie dla sztuk pięknych. Do takiego budynku przychodziłoby się jak do świątyni. Myślę, że wielość programowych propozycji, ich wysoka jakość merytoryczna i artystyczna przyciągnęłaby tłumy zwiedzających. W końcu, nie trzeba byłoby nikomu więcej tłumaczyć, gdzie “na mieście” znajduje się galeria i jak do niej trafić. Przedtem konieczne było wskazać petentowi “Cepelię”, a aktualnie “Don Kichota”.*

*Nie do przecenienia jest okazja odcięcia się raz na zawsze od nieciekawego otoczenia galerii. Konieczne powinna też w niej znaleźć się nowoczesna sala audio i sprzęt do prezentacji zgodnych z możliwościami nowych mediów w sztuce.*

*Ja osobiście mam takie marzenia, jak autor pomysłu, i pragnę, by w Częstochowie powstało coś na kształt paryskiego Centrum Pompidou. Najwyższy już czas (XXI wiek) skończyć z tandetą, małomiasteczkowością, częstochowskością, a może i gorzej...*

*(Nazwisko i adres do wiadomości Redakcji)*

**Od Red.:** Cieszy nas fakt, że rozpoczęły się już prace nad przebudową siedziby Miejskiej Galerii Sztuki. Według informacji od Jarosława Kapsy z Biura Prasowego UM, wstępna koncepcja przewiduje “architektoniczne wpisanie budynku Galerii w przestrzeń Alei”. Jeszcze w tym roku zostanie zakończony remont pawilonów od strony hotelu “Mercury-Patria”, co pozwoli na znaczne zwiększenie przestrzeni wystawienniczej i magazynowej.

## Poczta literacka

**Władysław Edward P.** Jest Pan osobą znaną w regionie. Staraliśmy się o tym nie pamiętać i zdobyć się na maksymalny obiektywizm. Godnym pewnej uwagi jest “Tryptyk o niekochanym bogu”, ale nie będziemy się upierali przy publikacji tego utworu.

**Marcin H.** Jest Pan bardzo blisko progu drukowalności, ale Pańskim wierszom czegoś jeszcze brakuje. Za dużo w nich gadulstwa, za mało samookreślenia się wobec rzeczywistości i prób rozpoznania tejże. Prosimy o kontakt z redaktorem działu poezji.

**Autor “Od-do.Pieśni świątecznej”.** Wszystkie Pańskie utwory zakwalifikowaliśmy do druku. Prosimy o ujawnienie się i kontakt z redakcją. Gratulujemy.

**Wojciech U.** Otrzymaliśmy od Pana pokazny pakiet tekstów, opakowany niezwykle estetycznie. Każda kartka to idealnie czytelny i czysty wydruk komputerowy. Całość zatytułował Pan “Tomik wierszy”. Przedwcześnie.

“Skrzynia ze skarbami, / Beczka z klejnotami, / srebrne naszyjniki, / porcelanowe słoniki, / to bogactwo piękne i wielkie / lecz dobra nikną wszelkie / w spotkaniu z przyjacielem / bo z przyjacieli dóbr czerpać można wiele”.

W tym pokaznym zestawie nie znaleźliśmy ani jednego wiersza.

XAVERY

## NA RATUNEK MSTOWSKIM STODOŁOM

Przy okazji poplenerowych wystaw jurajskich wyrażane są konwencjonalne, przelotne i niezobowiązujące zachwyty nad pięknem tej bliskiej nam krainy. Uczestnictwo w tegorocznej wystawie XXIX Pleneru "Jurajska jesień" daje mi asumpt do poruszenia sprawy konkretnej. Przed laty, jeszcze w epoce komunistycznej, powstał pomysł, aby utworzyć skansen w Olsztynie. Angażowały się w to naukowe autorytety, a potem sprawa upadła. Przestały istnieć owe chronione zabytki. Po dwóch zespołach wspaniałych, drewnianych, krytych strzechą stodół śladu nie zostało. Takie przykłady ochrony zabytków w naszym regionie można by mnożyć. Chociażby niedaleka Kruszyna - szczyty się popadającym w kompletną ruinę cennym, okazałym pałacem. W jeszcze bliższych Konopiskach parę lat temu władze gminy zdecydowały rozebrać siedemnastowieczny dworek, bo zagrażał bezpieczeństwu mieszkańców! Podobny los spotkał i inne tego rodzaju obiekty. Jednych już nie ma, inne niszczone, niektóre poddane zostają daleko idącym przeróbkom.

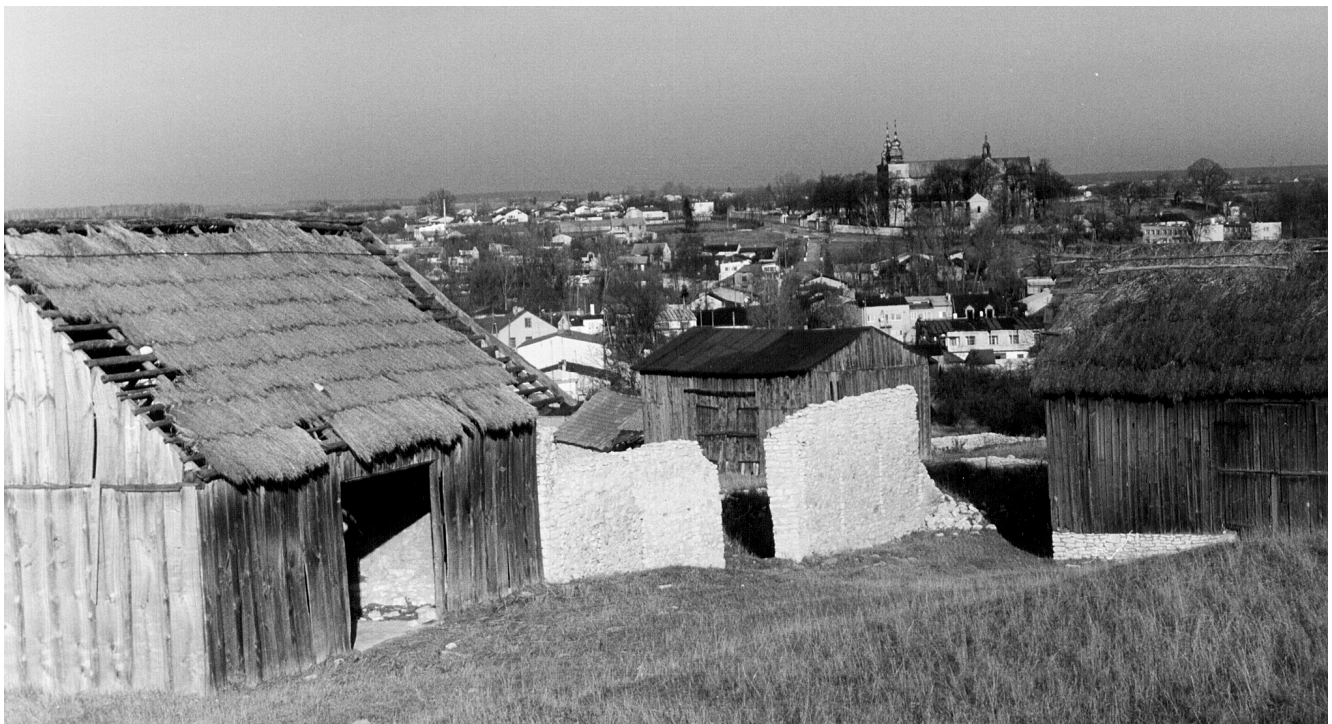
Piękne są mstowskie uliczki. Nadal dużo tu starych, charakterystycznych miasteczkowych domków. Przetwały nieznieszczone, w dobrym stanie. Atmosfera jak z akwareli Stanisława Masłowskiego. Ale sporo zostało zniszczone, przy przebudowie drogi przepadły ziemne piwnice - niewiele z nich ocalało. Kościół i klasztor trzymają się dobrze, konserwowany pod opieką gospodarzy - kanoników regularnych, którzy wrócili do Wancerzowa.

Chlubą Mstowa jest duży zespół stodół górujący nad miasteczkiem. Widać, że traktowano go jako atrakcję turystyczną. Świadczy o tym wypłowiałe malowidło na tabli-

cy informacyjnej na rynku. Niestety, to czas przeszedł. Wędrowca, który uliczką koło szkoły wespnie się na wzgórze, zaskoczy z bliska żaloszny widok. Władze gminy powinny zrobić wszystko, aby uratować ten unikatowy zabytek w całości. Nie jakieś dwie czy trzy stodoły, jak słyszałem. Przecież można znaleźć zainteresowanego biznesmena, nawet dać za darmo teren gminny, w porozumieniu z właścicielami i użytkownikami obiektów - pod warunkiem przeprowadzenia konserwacji. I spełnienia tego warunku pilnować. Mógłby tam powstać ośrodek turystyczny, z wyremontowanymi i odtworzonymi stodołami jako wielką atrakcją. Jeśli nie da się tego przekształcić w skansen, to można by przecież nawet we wnętrzach niektórych z nich urządzić eleganckie restauracje. Można by też pomyśleć o stosownej ekspozycji sztuki, przedmiotów, dawnych narzędzi rolniczych - jak to próbują robić choćby właściciele stadniny w Janowie.

To tylko jeden z pomysłów. Może w inny sposób udałoby się zdobyć pieniądze na ratowanie mstowskich stodół. Fundusze unijne? Nie wiem. W każdym razie sprawa jest bardzo pilna. Obiekty trzeba zabezpieczyć zaraz i przystąpić do prac konserwacyjnych, a stopniowo również rekonstrukcyjnych. Jeśli władze gminy Mstów, a także władze powiatu i województwa okażą tu brak zainteresowania lub bezsilność, nie zrobią nic, doprowadzą do likwidacji zabytku - zapiszą się niechlubnie w historii nie tylko Mstowa. Byłaby to kompromitacja zupełna, a szkoda nie do naprawienia. Ten apel jest skierowany także do władz Częstochowy, które przecież deklarują udział w rozwijaniu i promowaniu turystyki jurajskiej.

*Władysław Ratusiński*



**Mateusz Wojciechowski**

## DESZCZOWY WIECZÓR

Padał deszcz. Pan Krzysztof wracał z pracy. Szedł dziarsko osiedlową alejką, nie zwracając uwagi na to, że moknie. Chodnik był nierówny i popękany, na trawniku wałały się śmieci z przewróconego pojemnika, a ławeczki ustawione wzdłuż alejki były połamane lub zryte przez przesiadającą tu młodzież milionami napisów. Pan Krzysztof nie zwracał jednak na to uwagi.

Świat był piękny! Właśnie skończył wieczorną zmianę w zakładzie przetwórstwa warzywnego. Z zawodu był co prawda technikiem instalatorem urządzeń sanitarnych, ale miał pracę, a to już znacznie więcej, niż mógł powiedzieć niejeden jego rówieśnik. Pieniądże były niewielkie, ale starczały na utrzymanie rodziny na przyzwoitym poziomie.

Nie były to jedyne powody do zadowolenia Pana Krzysztofa. Jego żona dorabiała jako krawcowa, co nie dość, że dawało jej wiele satysfakcji i pozwalało zabić nudę, to wspomagało także skromny, domowy budżet. Dzieci Pana Krzysztofa uczyły się dobrze i nie było z nimi większych kłopotów. Mateusz był w reprezentacji szkoły w ping ponga, a Wiola była wiceprzewodniczącą samorządu w klasie. Panu Krzysztofowi ciężko było znaleźć powód do narzekania. Nawet ból przyrodzenia, który męczył go od pewnego czasu, okazał się być zaledwie zapaleniem cewki, a nie rakiem prostaty, czego obawiał się najbardziej.

Szedł tak i pogwizdywał sobie, wesoło wymachując skórzanym neseserem, gdy nagle został uderzony kijem w potylicę, łokciem w brzuch, obalony i skopany. Z trudem łapiąc oddech zwił się na ziemi. Powoli podniósł głowę i ujrzał dwóch młodzieńców. Byli krótko ostrzyżeni, odziani w szerokie ortalionowe spodnie i bluzy z kapturem, opatrzone napisem HWDP. Przeszukiwali jego neseser.

Jeden z nich, drobniejszy, trzymał kij bejsbolowy. Odezwał się do drugiego chłopaka o szerokim karku:

- Powiedz mi, Dariuszu, czy to, co robimy, jest złe?

Tamten odwrócił się do niego zdziwiony i odparł:

- Wiesz, Bartoszu, to zależy, z której strony na to spojrzeć. Biorąc pod uwagę wyłącznie aspekt etyczny, postępowanie nasze jest w całą pewnością moralnie naganne, niemniej jednak istnieją pewne okoliczności, usprawiedliwiające nasze zachowanie.

Wstał, zapalił papierosa i ciągnął dalej:

- Socjologowie uważają, że akt rozboju, którego właśnie dokonaliśmy, w dużej mierze uwarunkowany jest sytuacją polityczno-gospodarczą, w jakiej się znaleźliśmy. Trudna sytuacja finansowa, logika kapitalistycznego wykluczenia, która nas dosięga, wszystko to popchnęło nas do tak niegodziwego czynu.

- To bardzo ciekawe spostrzeżenie, Dariuszu. Nie uważasz jednak, iż aspekt psychologiczny jest także bardzo istotny? Koniec końców, brak zainteresowania ze strony rodziców, pochłoniętych zapewnianiem nam godziwych warunków materialnych, plus nasz strach przed niepewną przyszłością oraz mrówczym życiem miejskiego wyrobnika, nie mógł pozostać bez znaczenia.

- W istocie. Jestem zmuszony przyznać ci rację, Bartoszu. W zasadzie możemy zaryzykować stwierdzenie, że w całym tym zajściu to właśnie my jesteśmy, nie bójmy się tego słowa, ofiarami!

- Bezdyskusyjnie...

Oddalające się z wolna głosy dyskutujących młodzieńców cichły w uszach Pana Krzysztofa. Ból promieniujący z połamanych żeber powoli pozbawiał go przytomności. "Całe szczęście, że przewrócili mnie na trawnik. Przynajmniej mi miękko" - pomyślał i odpłynął. Chmury powoli ustępowały miejsca gwiaździstemu niebu...



**Czy znasz Częstochowę? Jeśli wiesz gdzie znajduje się ta rzeźba i kogo przedstawia - możesz sobie pogratulować.**

## ROZWAŻANIA LUŻNE

PIOTR NALEWAJKA

### O mitach

Gdzie jest moja ojczyzna? Czy jest nią grupa rówieśnicza, klasa społeczna, naród, kontynent, czy też może wszechświat? W głębi serca czuję się dzieckiem kosmosu ale czegoś mógłbym dowiedzieć się o kosmosie, gdybym nie był dzieckiem Europy, czy też własnego narodu?

Wyrosła z marzeń o nieśmiertelności kultura naszej europejskiej ojczyzny wspiera się na kanwie mitycznej i biblijnej kosmogonii, rzymskiego prawodawstwa i chrześcijańskiego podkreślenia wartości ludzkiej osobowości. Jednym z głównych problemów, które organizowały myśl starożytnych Greków było zagadnienie jedności i wielości. Wydaje się, iż nie istnieje obecnie idea będąca w stanie scalić świadomość Europejczyków (prócz utopii nieograniczonego postępu gospodarczego). Ten stan rzeczy szczególnie negatywnie odbija się na zachowaniach młodych ludzi, którzy – mówiąc metaforycznie - wędrują w izolowanych tunelach świadomości niczym leibnizjańskie monady wypełnione obrazami telewizyjnymi. Paradoxem jest, iż zachodnie społeczeństwa rozwijając się, zatraciły jednocześnie własne mity a więc stały się w pewien sposób martwe. Zacytujmy Tomasza Manna: *Poszczególne ludzie mogą mieć swoje subiektywne cele, dążenia, nadzieje i widoki, z których czerpią impuls do intensywniejszych wysiłków i działalności. Jeżeli jednak otaczający ich świat obiektywny, jeżeli epoka, w której żyją, pomimo zewnętrznego rozpadu nie daje w gruncie rzeczy żadnych widoków ani nadziei: jeżeli pozwala im dostrzec, że jest bezradna, beznadziejna i pozbawiona widoków na przyszłość; jeżeli wreszcie tępy milczeniem odpowiada na świadome lub nieświadome pytanie, jaki ostateczny, ponadosobowy, absolutny sens mają wszelkie wysiłki i wszelka działalność – to właśnie u ludzi prawych taki stan rzeczy wywołuje prawie zawsze skutek poniekąd paraliżujący...* Przed wiekami św. Tomasz trafnie zdefiniował taki stan za pomocą terminu *accidie*, wskazującego na stan wycofania się z życia, uśpienia ducha. A wtedy diabeł zaciera ręce. Czy może zatem dziwić wciąż wzrastająca liczba osób cierpiących na dolegliwości psychiczne? Niektóre problemy społeczne, ot, choćby narkomania, mają swe źródło m.in. w całkowitym wyrugowaniu z naszego życia obecności mitów. W sprawie narkotyków wypowiedział się również nasz noblista Czesław Miłosz. Miłosz twierdzi, iż zjawisko narkomanii sprowadza się do próby *zwaloryzowania przestrzeni aktualnej... żeby móc obywać się bez przestrzeni intencjonalnej i wyjaśnia dalej: Przez aktualną przestrzeń rozumiem tę, która otacza mnie w danej chwili i którą odbieram pięcioma zmysłami. Przez intencjonalną prze-*

*strzeń rozumiem tę, która przebywa w mojej wyobraźni i wzywa, żeby do niej dążyć.* Może to być Bóg albo złote runo albo cel zbiorowości w historii. Dalej, pisze on, iż *chemiczne środki mogą tak zmienić nasz odbiór pięcioma zmysłami, że przestrzeń, jaka nas otacza, staje się pełna, nieskończenie bogata...* i konkluduje: *W istocie chemia działa tutaj przeciw tradycji judeochrześcijańskiej, na rzecz tradycji orientalnej.*

Współczesny człowiek, jeśli skutecznie chce walczyć z depresją, musi odnaleźć się w świecie adekwatnych tj. wyrażających jego sytuację mitów. Nie posiadając wzorców etycznych działań, nie potrafimy zrozumieć teraźniejszości. Poza tym: istnienie aksjologicznej próżni sprzyja działalności tyranów i demagogów. Jeśli zatem chcemy zapobiec niebezpieczeństwu, powinniśmy odpowiedzieć sobie na pytanie: jaki mit organizuje wewnętrzne życie naszej zbiorowości?

Z pokolenia na pokolenie – my, Polacy - dziedziczyliśmy kanon romantycznych lektur i zachowań. Pojęcia takie jak ojczyzna, honor, niepodległość, solidarność, konstytuowały przestrzeń naszego zbiorowego istnienia. Dziś na każdym kroku obserwujemy proces odmitologizowania społeczeństwa polskiego. Po 1989 roku byliśmy świadkami, jak pęd do dobrobytu przybierał coraz bardziej na sile i jednoczył przedstawicieli różnych grup politycznych i członków zwalczających się niegdyś obozów; rzeczywistość polska podzieliła się na tych zaradnych, potrafiących czerpać profity z zaistniałych przemian i nieudaczników dotkniętych chorobą wiecznej bezradności. Podział ten przyczynił się do narastania zjawiska zawiści. Leszek Kołakowski w *Mini wykładach o maxi sprawach przytacza rosyjską anegdotę: Dostaniesz wszystko, czego chcesz, ale wiedz, że czegokolwiek zażądasz i dostaniesz, twój sąsiad dostanie dwakroć tyle. Czego chcesz? Chłop mówi: Panie Boże, wylup mi jedno oko.* Czyż nie tak właśnie reagujemy najczęściej na powodzenie naszych rodaków, obojętnie w jakiej dziedzinie? Polak – Chrystus narodów z awersją patrzy na akt prywatnej inicjatywy, który rodzi pot na czole...

Do charakterystycznych cech współczesnego kapitalizmu zaliczyć należy dążenie do przekraczania wszelkich tradycyjnych granic. Nie da się ukryć, iż konkurencja wymuszona regułami rynkowymi pozostaje w otwartym konflikcie z etosem solidarności społecznej. Czy zatem życie wspólnoty powinno ograniczać się tylko do zaspokajania potrzeb materialnych? Zdecydowanie nie. Powinno znaleźć się miejsce na świadome uczestnictwo w zbiorze opowieści, które ukształtowały pierwotny potencjał dramatyczny narodu. Adam Michnik w artykule *Niezgoda na ukłon* zamieszczonym w „Gazecie Wyborczej” (grudzień 2002) *Prawdopodobnie taka jest nieuchronna kolej rzeczy. Pewien typ postaw – ożywionych obco-*

waniem z wartościami, nasyconych poczuciem braterstwa oraz bezwzględny umiłowanie wolności i prawdy – rodzi się tylko w warunkach szczególnych, nigdy nie trwa długo i zamiera wraz z tymi okolicznościami szczególnymi. Ale wartości – choć zamierają – to nigdy nie giną ostatecznie. Pozostaje przecież pamięć – bezcenny rezerwat wiedzy o wartościach, godzien troski i pielęgnacji. Bowiem akcja na rzecz wartości zachowuje swe znaczenie niezależnie od zwycięstwa czy porażki.

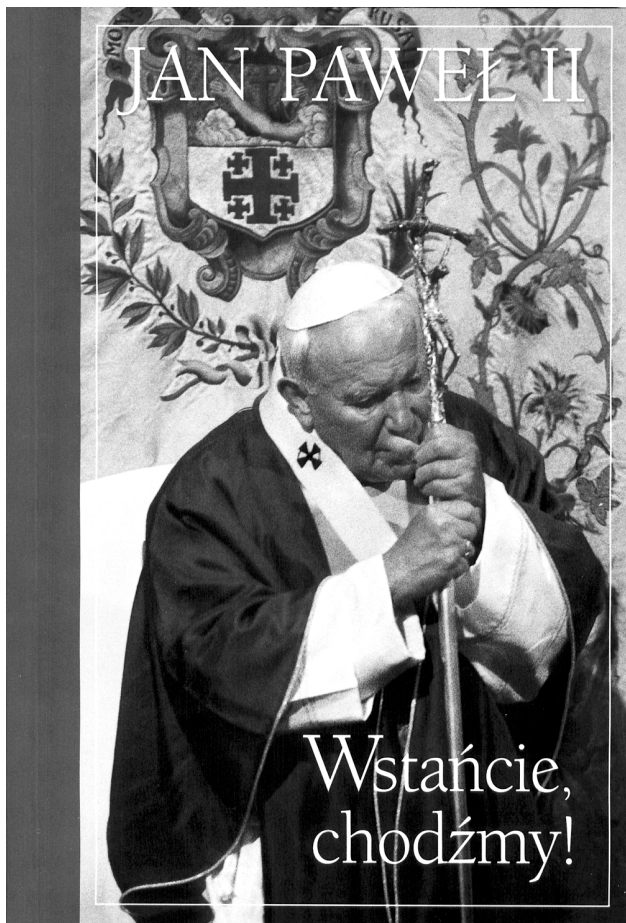
Czy kultywowanie wartości wypracowanych przez pokolenia jest w obecnych warunkach możliwe? Truizmem trąci stwierdzenie, iż los narodu bez kultury jest z góry przesądzony. W ostatnich latach obserwujemy wzrost zafascynowania kulturą amerykańską, zaznaczają się również wpływy wschodnie, np. buddyzm (a raczej ta jego wersja, która dociera do nas za pośrednictwem środków masowego przekazu). Już Słowacki ubolewał nad naszą narodową wadą, której przejawem jest brak wiary we własne siły i nadmierne podporządkowanie obcym wpływom. Maria Janion w książce *Czy będziesz wiedział, co przeżyłeś?* ujmuje ten problem w sposób następujący: *Zuniforimizowana kultura tandety, karykaturalna amerykanizacja dla ubogich to niebłaha zagrożenie dla narodu takiego jak nasz – zubożalego, niepewnego jutra, zdezorientowanego doświadczeniami kryzysu historycznego.* W związku z tym pytam: kto powinien zająć miejsce naszych romantycznych poetów i czy w ogóle pustka ta obchodzi jeszcze kogokolwiek? Czy ratunku należy poszukiwać w powrocie do religijnych korzeni wspólnoty? Nie sadzę, aby było to jedyne rozwiązanie. Powinno jednak znaleźć się miejsce dla działalności środowisk, które poczuwałyby się do odpowiedzialności za narodową schedę. Działania takie winna cechować jednak ostrożność zapobiegająca przeradzaniu się narodowych wartości w megalomański nacjonalizm. Uświadomienie sobie nieprzekraczalnej bariery poznawczej wynikającej z nieprzejrzystości naszego bycia w świecie (i co za tym idzie; niepewności każdego sądu odnoszącego się do rzeczywistości) może rugować nadmierne zapędy fanatycznego patriotyzmu. *Pojęcia wpajane nam od pokoleń wymagają rewizji, bo stają się zbyt niebezpieczne wobec zdobyczy cywilizacyjnych. Wpajana od pokoleń niechęć do "innych" nabiera charakteru samobójczego.* (M. Szyszkowska, *W poszukiwaniu sensu życia*). Zrozumieć obcość i nie chcieć zabijać (refleksja ta nabiera szczególnego znaczenia po tragicznych wydarzeniach w Jugosławii) - oto wyzwanie dla nas, Polaków Europejczyków, oto prawdziwy sprawdzian naszych charakterów.

Czy różnice pomiędzy różnymi regionami Europy wynikające z odmiennego klimatu, tradycji, doświadczenia historycznego będą na tyle silnie się zaznaczały, iż uniemożliwią rzeczywistość, nie zaś tylko formalną

integrację? Przypatrując się z bliska, możemy zbyt łatwo przeoczyć fakt europejskiej jednorodności. *Jest to tak, jakby przyrodnik chciał badać słonia przez mikroskop. Opis byłby wciąż nie zakończony, jedność przedmiotu nigdy nie stwierdzona. Nie widząc z bliska nic poza naszymi granicami, przebiegającymi we wszystkich kierunkach, dostrzegamy wyłącznie różnice.* (Denis de Rougemont, *List otwarty do Europejczyków*). Jednorodność pojmowana na sposób statyczny, niwelująca wszelkie różnice, prowadziłaby – moim zdaniem – do wzrostu entropii. Najbliższym odpowiednikiem właściwej jedności byłaby jedność typu organicznego. Przypomnijmy tutaj słowa Heraklita: *to, co stawia sobie wzajemnie opór, to i współdziała ze sobą, a z walki przeciwieństw rodzi się najpiękniejsza harmonia.* Wspaniale byłoby oczywiście, gdyby przestrzeń sporu była przestrzenią niekończącego się cierpliwego dialogu, nie zaś krwawych rewolucji. Czy starczy nam wytrwałości, aby zadanie takie realizować?

Pojawia się też pytanie, na które nie jest wcale łatwo udzielić odpowiedzi: czy korzenie polityki powinny wyrastać z moralności? Ryzykując uproszczenie możemy stwierdzić, iż politycy w Polsce dzielą się na obrońców tradycyjnych wartości i na zwolenników liberalnego społeczeństwa otwartego. Należy tutaj wyraźnie zaznaczyć, iż *liberalizm nie stanowi przeciwwagi dla światopoglądów religijnych, skoro głosi wolność wyznawania wszelkich światopoglądów poza takimi, które naruszają zasadę tolerancji* (M. Szyszkowska). Demokracja musi zatem odpowiedzieć sobie na pytanie, czy możemy tolerować przeciwników demokracji? Czy demokracja winna być tolerancyjna wobec polityków, którzy nie szanują demokracji? Wolter zwykł był w takich sytuacjach mawiać: *Twoje poglądy są mi wstrętne, ale gotów jestem oddać życie, abys mógł je wyznawać.*

Okazuje się, iż wolności trzeba nieustannie bronić. Przed czym? - zapyta ktoś. Odpowiem. Przed jej karykaturą, która pod pozornym płaszczykiem różnorodnych opinii skrywa monolityczny interes ekonomiczny czyniących z nas – według trafnego określenia H. Marcuse'a - ludzi jednowymiarowych. Czyżby Europa miała stać się krainą ekspertów, krainą, w której każda dziedzina życia posiada regulacje prawne, miejscem, gdzie nie można nawet kichnąć, żeby się komuś nie narazić? Według I. Berlina konieczny jest zatem *pewien luz i tolerancja dla jakiegoś minimum nieefektywności nawet oddawania się w jakiejś mierze jałowemu rozmowom, próżnej ciekawości, bezcelowej pogoni za tym lub owym bez upoważnienia.* Quod erat demonstrandum!



## WSTAŃCIE, CHODŹMY!

Pierwsza promocja najnowszej książki Jana Pawła II "Wstańcie, chodźmy" odbyła się w Bibliotece Publicznej im. W. Biegańskiego w Częstochowie.

Książka, przygotowana przez krakowskie Wydawnictwo Św. Stanisława, jest zapisem refleksji polskiego papieża z okresu jego posługi biskupiej. Nie brak w niej śladów częstochowskich.

Kolejny już bestseller papieski, można jeszcze nabyć w wypożyczalni Biblioteki Publicznej (Aleja NMP 22).

Ważnym akcentem uświetnienia jubileuszu 25-lecia pontyfikatu Jana Pawła II jest zorganizowana w Muzeum 600-Lecia wystawa wot, ofiarowanych Klasztorowi Jasnogórskiemu przez Papieża Polaka. Największe wrażenie robi jednak umieszczony na ołtarzu sanktuarium pas, przebity kulą zamachowca w maju 1981 roku.

## DNI PAMIĘCI

W kwietniu obchodzono w Częstochowie Dni Pamięci, przypominające 200 lat współistnienia żydów i chrześcijan w naszym mieście. W uroczystościach wzięło udział wiele znanych osobistości, m.in. W. Bartoszewski, J. Nowak – Jeziorański, Christopher Hill, Frank Lautenberg oraz setka Żydów pochodzących z Częstochowy. Obchody rozpoczęto w Filharmonii, stojącej na gruzach Nowej Synagogi zburzonej przez hitlerowców w 1939 r. A w programie imprez znalazły się: wystawa "Żydzi w Częstochowie", przegląd filmów o tematyce żydowskiej w OKF, symposium pt. "Współistnienie, Holocaust, Pamięć" oraz spotkanie z izraelską pisarką Irit Amiel. Na tą okazję odrestaurowano częściowo kirkut w okolicy huty Częstochowa. Fundatorem Dni był amerykański przedsiębiorca Zygmunt Rolat, który przeżył wojnę, jako jeden z niewielu, w zakładach Hasag – Pelcery.

## REMONTY

Wiele zmian zachodzi w częstochowskim muzeum. Jeszcze w ub. roku wahały się losy stanowiska dyrektora tej placówki. Początkowo miał nim być Maciej Aleksander Głowacki (kustosz Muzeum Historycznego w Sztokholmie), lecz ze względów finansowo – socjalnych zrezygnował. Na fotelu dyrektora zasiadł Janusz Jadczyk. Dobrą wiadomością dla niego i dla nas było przyznanie przez Śląski Urząd Marszałkowski z "Funduszu dla Śląska" 2 mln złotych na remont kapitalny budynku przy placu Biegańskiego. Drugie pozytywne osiągnięcie to otwarcie po trzyletnim remoncie odrestaurowanego gmachu Rezerwatu Archeologicznego na Rakowie, z unikalnym w skali europejskiej cmentarzyskiem kultury łużyckiej sprzed 2500 lat. Autorem projektu pawilonu jest Lech Nowotarski. Podczas prac znaleziono pod posadzką pięć kolejnych grobów. Zabytkowe szczątki zostały zakonserwowane w Muzeum Archeologicznym w Warszawie.

## ARCHIWUM M

Najwybitniejsza częstochowska poetka, Ludmiła Marjańska, przekazała rodzinnemu miastu wiele dokumentów z prywatnego i literackiego archiwum. Fotografie, listy, młodzieńcze utwory, osobiste pamiątki Pani Ludmiły trafiły do zbiorów Biblioteki Publicznej im. dr. W. Biegańskiego. Dziękujemy i życzymy zdrowia.





## PROMENADA NIEMENA

Rada Miasta nadała "Promenadzie" w dzielnicy Północ imię niedawno zmarłego muzyka rockowego – Czesława Niemena, podając w uzasadnieniu, iż Niemen należał do najwybitniejszych artystów powojennej Polski, łączącym muzykę rozrywkową z kulturą narodową, budzącym swoją twórczością sumienia. Hymn pokolenia hippisów "Dziwny jest ten świat" nadal pozostaje ważnym manifestem niezgody na niesprawiedliwość. W kwietniu prezydent Tadeusz Wrona posadził pamiątkowe drzewko na terenie szkoły przy ul. Kukuczki.

Czekamy, by swoją ulicę miał w Częstochowie nieodżałowanej pamięci Jacek Kaczmarski.

## ALE KINO

Jak dobrze pójdzie – wkrótce będziemy mieli w mieście prawdziwe duże kino. Sieć Cinema City chce zagospodarować barak oszpacający nasze śródmieście. Ponieważ podobne plany słyszeliśmy w ostatnich latach wielokrotnie, nie mówimy o nich głośno, żeby nie zapeszyć.

Doskonale ma się natomiast nasze małe kino. W uznaniu zasług na niwie krzewienia - częstochowski OKF trafił na listę sieci Europa Cinemas. Gratulujemy!

## NAKRĘĆ MIASTO

Do 30. września można składać w OKF filmy video na konkurs "Częstochowa w kadrze". Konkurs na amatorski film video jest organizowany już po raz piąty – rozstrzygnięcie 10 października.

## 7 DNI

W metamorfozach lokalnych gazet trudno się czasami orientować. Przestały istnieć "Kulisy Regionu", ale w ich miejsce pojawił się tygodnik regionalny "7 Dni". Redaktorzy nie ukrywają, że są "po przejściach" wynikających z niepewnego rynku i morderczej konkurencji. Ostatnia przyczyna być może kieruje ich krokami w stronę popularnego "Faktu", gdyż wiele tu happeningu i sensacji. Redakcja, z siedzibą na dworcu PKP, manifestując swoje zaangażowanie społeczne i regionalne (zarejestrowali Regionalne Stowarzyszenie Społeczno – Kulturalne "Czenstochovia"), deklaruje całkowitą apolityczność. W gazecie można w znaleźć twarze znane z innych tytułów – tytaniczny Janusz Pawlikowski, obrotny Krzysztof Pikor, były fotoreporter "Gazety Wyborczej" Leszek Pilichowski, satyryczny rysownik Wojtek Buchaniec (niegdyś "Jorik"), fotograf teatralny Piotr Dłubak. Cieszy nowy tytuł, lecz niepokoi pewne zjawisko: dziennikarze w naszym mieście są zmuszeni sami tworzyć miejsca pracy, co świadczy o pewnym kryzysie w tej branży - nadmiar dzienników lub/i brak miejscowego kapitału. Początkowy nakład 3000 egz.

## KSIĄŻKI O PRZESZŁOŚCI

Ukazały się dwie ważne książki o przeszłości naszego miasta: *Życie społeczno-polityczne w Częstochowie w latach rewolucji 1905-1907* Waldemara Palusa oraz *Czyn zbrojny Organizacji Bojowych PPS w Częstochowskiem 1904-1910* Juliusza Sętowskiego – obie wydane przez Wydawnictwo WSP. Wkład pracy autorów ogromny, nakład zbyt mały.

## STATYSTYKA

OPK "Gaude Mater" obliczył, że podczas XIV edycji Międzynarowego Festiwalu Muzyki Sakralnej zorganizowano 20 imprez: 11 koncertów, 3 spektakle teatralne, 1 wystawę, 3 wykłady naukowe, 2 msze św. z oprawą muzyczną. Zaprezentowało się ponad 700 wykonawców, z 9 krajów. Według organizatorów, wzrasta liczba uczestników imprez festiwalowych.

## STYPENDIA

Prezydent Częstochowy Tadeusz Wrona przyznał kolejnych 27 stypendiów dla uzdolnionej artystycznie częstochowskiej młodzieży: cykliczne uczniowskie i studenckie oraz twórcze. Jak powiedział podczas uroczystości wręczenia stypendiów, Częstochowa może nie jest największym ośrodkiem gospodarczym w Polsce, ale *na pewno jest jednym z największych ośrodków kulturalnych*. Od razu poczuliśmy się lepsi, ważniejsi, bardziej docenieni.

## SUKCESY, NAGRODY...

**Jerzy Duda Gracz** – za 4620 dolarów sprzedano jego obraz na aukcji w polskim Konsulacie Generalnym w Nowym Jorku, zorganizowanej przez stowarzyszenie „Nasza Częstochowa”.

**Piotr Wachecki** – wyróżnienie na Międzynarodowym Konkursie Fotografii Cyfrowej „CYBERFOTO” w Częstochowie.

**Parafia św. Jakuba** – nagroda w konkursie „Zabytek zadbany”, organizowanym przez Generalnego Konserwatora Zabytków (jedyne wyróżnienie w woj. śląskim).

**Piotr Nowak** z Państwowej Ogólnokształcącej Szkoły Muzycznej w Częstochowie – zwyciężył w Ogólnopolskich Przesłuchaniach Uczniów Klas Instrumentów Dętych Blaszanych, jaki z udziałem 70 muzyków z całej Polski odbył się w Katowicach.

**Magdalena Brondel** z PLSP w Częstochowie zdobyła laury II Ogólnopolskiego Biennale Rzeźby Plenerowej, organizowanego przez GOK w Mykanowie.

## NOWOŚCI WYDAWNICZE

**Ludmiła Marjańska**, „*Otwieram sen*”, Czytelnik 2004 – najnowsze wiersze pani prezes SPP.

„*Elementarz Haliny Poświatowskiej*”, Wydawnictwo Literackie 2004 – wiersze i listy dla szczęśliwych i nieszczęśliwych wybrane przez Mariolę Rolę.

**Tomasz Olszewski**, „*Cynamonowe drzewa*” – debiutancki tomik poezji 24 – letniego studenta Instytutu Teologii.

**Elżbieta Cichla – Czarniawska**, *Wydarzenia pozor-  
ne i niepozorne*, Norbertinum, Lublin 2004,

„*Powiat częstochowski*” – długo oczekiwana mapa „terytorium administracji częstochowskiej”, wydana przez Śląski Urząd Marszałkowski w skali 1:50 000. Wydanie dostępne też w wersji ściennej.

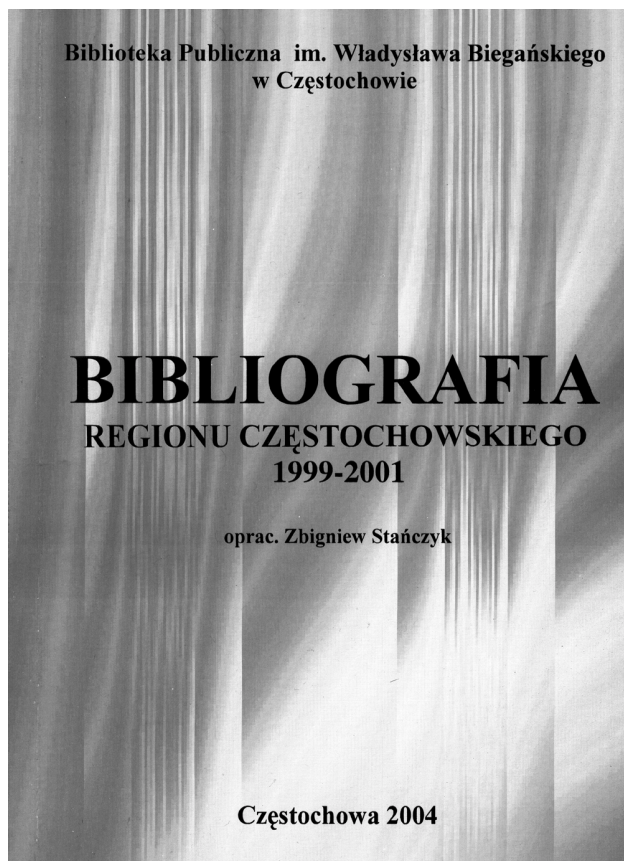
„*Atlas samochodowy Częstochowy*” – po kilkuletniej przerwie plan Częstochowy w wersji książkowej (wydanie podręczne, bardzo poszukiwane przez taryfarzy) wyprodukowało wyd. „Beata Piętka”.

**Władysław Piekarski**, „*Monologi*”, wyd. „Dom Książki”, Częstochowa 2004 – wiersze założyciela czasopiśma kulturalnego „Galeria”.

Książkę **Andrzeja Kalinina** „*...i Bóg o nas zapomniał*” opublikowano w Australii. Przez kilka miesięcy zamieszczała ją w odcinkach polonijny „Tygodnik Polski”.

*Oprac. (sb), (mp)*

## PRZECZYTAMY



## Dariusz PLEŚNIAK

Absolwent Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie; od 1998 roku asystent w Instytucie Plastyki WSP. Jego praca magisterska "Bibliografia Fotografii Polskiej za lata 1956-1981 redakcja w systemie CD-Rom" otrzymała wyróżnienie rektora WSP, była prezentowana na V Sympozjum Dydaktyki Fotografii w Częstochowie (1997) a następnie opublikowana w pracy zbiorowej pod red. A. Żakowicza i przedstawiona na Sesji Naukowo-Technicznej na VII Międzynarodowych Targach Fotograficznych "Polifoto 98" w Międzyzdrojach.

Od 1998 roku czynny uczestnik sympozjów fotograficznych, autor referatów na tematy dotyczące bibliografii fotografii, fotografii cyfrowej, cyfrowego retuszu i archiwizacji fotografii.

W 2003 r. Na VIII Sympozjum w Koniecpolu przedstawił referat "Program komputerowy opisu i archiwizacji zbiorów fotograficznych" wraz z wstępną prezentacją autorskiego programu komputerowego. Bardziej zaawansowaną wersję oprogramowania zaprezentował podczas konferencji polsko-słowackiej pt. "Fotografia tatrzańska i wdrażanie programów archiwizacyjnych zbiorów fotograficznych" (Zakopane 2003).

Zajmuje się działalnością artystyczną i popularyzatorską w zakresie fotografii cyfrowej, grafiki i animacji komputerowej. Współpracuje ze studiami filmowymi zajmującymi się grafiką komputerową oraz magazynem *RenderNode* (USA), gdzie drukuje artykuły związane z kreowaniem wirtualnej rzeczywistości. Szereg artykułów na temat grafiki 3D opublikował także w polskim *Magazynie 3D*.

Na uczelni prowadzi zajęcia dydaktyczne z przedmiotów: fotografia, edytory obrazu, fotografia cyfrowa i obrazowanie komputerowe, informatyka, działania multimedialne.

Ważniejsze wystawy:

VÖAV-Wettbewerb für Digitale Bildverarbeitung (2000, 2001),  
39 Challenge du Foto Club Esch, Salon Mondial 2003, Luxemburg;  
The 9<sup>th</sup> UAPA International Salon of Photography 2003, Hong Kong.

Laureat m.in.: III nagrody w ogólnopolskim konkursie grafiki 3D (2001), III nagrody w II Salonie Fotografii Jurajskiej (2002), wyróżnień w ogólnopolskich konkursach "Cyberfoto" (2000), "Cyfrowy Świat" (2001), wyróżnienia w prezentacji filmów-wizytówek grupy radiowej ANGORA S.A.



